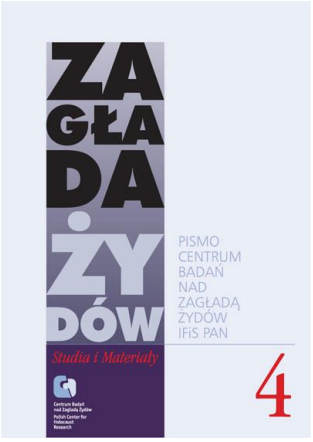


Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 4 (2008)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Nie chcę ludziom na śmiech się pokazać, że Żydów u siebie chowałem…Sprawa Zdzisława i Haliny Krzyczkowskich

I don't want to expose myself to people's laughter for hiding Jews in my place . . . the case of Zdzisław and Halina Krzyczkowski)

Jacek Leociak
Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk

jleociak@gmail.com
ORCID: https://orcid.org/0000-0003-1471-6926

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.276
Strony/Pages: 324-366

CC BY

OPEN ACCESS

Jacek Leociak

Nie chcę ludziom na śmiech się pokazać, że Żydów u siebie chowałem…
Sprawa Zdzisława i Haliny Krzyczkowskich

W 2003 r. Instytut Yad Vashem w Jerozolimie rozpoczął wydawanie monumentalnego dzieła: *The Encyclopedia of the Righteous Among the Nations*. Naczelnym redaktorem serii został prof. Israel Gutman. Wydano wówczas tom poświęcony Francji (pod red. Lucien Lazara). W 2004 r. ukazały się dwa tomy dotyczące Polski (pod red. Sary Bender i Szmuela Krakowskiego) oraz tom o Holandii (pod red. Jozepha Michmana i Bet Jana Flima). Encyklopedia o Sprawiedliwych z Belgii została opublikowana w 2005 r. (pod red. Dana Michmana). Dwuczęściowa encyklopedia obejmująca Europę i inne kraje wyszła w 2007 r.

Encyklopedia polskich Sprawiedliwych liczy z górą 1000 stron. Artykuły portretujące kolejnych bohaterów i ich czyny są z konieczności bardzo skondensowane. Starcza tu miejsca tylko na podstawowe dane osobowe oraz zarysowane w sposób niezwykle skrótowy okoliczności udzielania pomocy. Można powiedzieć, iż zapis w encyklopedii Sprawiedliwych stanowi ledwo widoczny nad powierzchnią wody wierzchołek góry lodowej. Dramatyczny splot ludzkich losów; bogactwo kontekstu historycznego, a także społecznego, obyczajowego, kulturowego; emocjonalne napięcia i moralne dylematy; zderzenie siły i słabości, heroizmu i tchórzostwa, szlachetności i podłości – to wszystko pozostaje ukryte, niewypowiedziane.

Wybierzmy z tysięcy historii opisanych w encyklopedii polskich Sprawiedliwych z Yad Vashem tylko jedną i spróbujmy odsłonić to, co nie mogło zmieścić się w encyklopedycznym artykule. Pozwólmy przemówić źródłom. Prześledźmy kolejne warstwy tekstów tworzących narrację o Zdzisławie i Halinie Krzyczkowskich. Zacznijmy jednak lekturę „od końca", czyli od tekstów najbardziej nam współczesnych aż po te tworzone na gorąco, w czasie ukrywania się. Tak zorganizowany proces lektury pomoże nam ukazać podstawy owej góry lodowej, niewidoczne na powierzchni.

1.

Rada ds. Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przy Instytucie Pamięci Yad Vashem postanowiła 25 maja 1988 r. przyznać Zdzisławowi i Halinie Krzyczkowskim Medal Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Następnie pismem z dnia 11

czerwca 1988 r., adresowanym do Haliny Krzyczkowskiej zamieszkałej w Nasielsku[1], Dyrektor Departamentu ds. Sprawiedliwych zawiadomił Halinę Krzyczkowską o tej decyzji, dodając, że z uwagi na ich trudne warunki materialne, rada zwróci się do organizacji Claims Conference w Nowym Jorku z prośbą o udzielenie odznaczonym pomocy finansowej. Dyplom Honorowy nosi datę 7 kwietnia 1991 r. Ten dyplom to ostatni akt całego procesu – zwieńczenie wierzchołka góry lodowej.

Chronologicznie najpóźniejszy w sprawie Krzyczkowskich jest artykuł encyklopedyczny z 2004 r.[2] Możemy się z niego dowiedzieć, że na początku maja 1943 r. wywiezieni z warszawskiego getta Marian Berland wraz z żoną Marysią, siostrą Leosią, swoim przyjacielem Benjaminem Hoferem i jego bratankiem Siame (Stasiem) wyskoczyli z pociągu wiozącego ich do obozu zagłady i wrócili do Warszawy. Staś Hofer przypomniał sobie wówczas o Zdzisławie i Halinie Krzyczkowskich, którzy „utrzymywali stosunki handlowe z jego rodzicami przed wojną". Krzyczkowscy stali się „ostatnią nadzieją" pięciorga Żydów. „Zostali przyjęci ciepło, a Krzyczkowski nie prosząc o cokolwiek w zamian zgodził się ich ukryć" – czytamy w opisie encyklopedycznym. Dalej pada kluczowe zdanie określające postawę Polaków wobec ukrywanych Żydów: „Pomimo ciężkiej sytuacji finansowej i podjętego ryzyka, przyjęli całą piątkę uciekinierów kierując się współczuciem, pomagając im, żywiąc ich i zapewniając im bezpieczeństwo". Grupa Berlanda ukrywała się u Krzyczkowskich do wybuchu powstania warszawskiego. Stasio Hofer został zamordowany przez oddział NSZ, pozostali przeżyli.

2.

W końcu 1987 r. Marian Berland skierował pismo do Yad Vashem. Na pięciu stronach rekopisu Berland przedstawia okoliczności ucieczki z transportu na Majdanek, przebywania najpierw w skrytce przy ul. Grzybowskiej 41 razem z wieloma innymi Żydami, potem poszukiwania nowej kryjówki i odnalezienia Zdzisława Krzyczkowskiego, zajmującego wraz z żoną Haliną „pożydowskie" mieszkanie na dawnym obszarze małego getta przy ul. Siennej 42. W swoim piśmie Barland rozwija wątek powojenny, zupełnie nieobecny w artykule encyklopedycznym. „Krzyczkowscy odnaleźli nas w Warszawie w 1946 r. W miarę naszych możliwości staraliśmy się

[1] Zamieszkały w tym samym Nasielsku Czesław Krzyczkowski został odznaczony Medalem Sprawiedliwych, wraz z nieżyjącymi: matką Eugenią i siostrą Barbarą, za uratowanie dwóch dziewczynek z warszawskiego getta. Decyzja zapadła 10 lutego 1997 r., Dyplom Honorowy nosi datę 31 marca 1997 r. Pan Czesław urodził się w 1924 r. we wsi Krzyczki Pieniążki odległej 5 km od Nasielska, do samego Nasielska przeniósł się w latach dziewięćdziesiątych. Nigdy nie słyszał o Zdzisławie i Halinie Krzyczkowskich ani o tym, że zostali odznaczeni Medalem Sprawiedliwych.

[2] W *Księdze Sprawiedliwych* Michała Grynberga (Warszawa 1993) Zdzisław i Halina Krzyczkowscy nie pojawiają się, ponieważ autor uwzględnił w niej Polaków uhonorowanych przez Vad Vashem tytułem Sprawiedliwych w latach 1963–1989. Dyplom dla Krzyczkowskich został zaś wydany w 1991 r.

im wtedy pomóc w różny sposób. Przeważnie materialnie". W 1956 r. Berlandowie wyjechali do Izraela. Kontakt z Krzyczkowskimi się urwał. Dopiero w 1986 r. dotarła do Berlandów wiadomość o ich „ciężkich warunkach materialnych". Pomagali im, „posyłając kilkakrotnie paczki z różnymi rzeczami". Pod koniec 1987 r. przyszedł z Polski do Izraela „błagalny list z prośbą o pomoc", napisany przez Halinę Krzyczkowską. Ten list zmobilizował Mariana Berlanda do działania. Wystosował do Yad Vashem pismo „z gorącą prośbą o uznanie Zdzisława Krzyczkowskiego i Haliny Krzyczkowskiej jako ludzi godnych Waszej pomocy, jako ludzi, którzy w tym strasznym czasie zaryzykowali swój własny los i uratowali życie kilku Żydów przeznaczonych na zagładę".

Pismo Mariana Berlanda ma znaczenie kluczowe dla sprawy. Stanowiło bowiem podstawę wszczęcia procedury nadania Krzyczkowskim tytułu Sprawiedliwych oraz uruchomiło starania o pomoc finansową. Z czysto formalnego punktu widzenia warto zauważyć, że procedura ta, przebiegająca według ściśle określonych reguł, wymagająca skrupulatnej weryfikacji danych, porównywania relacji świadków i z tego względu przeciągająca się nieraz na parę lat – w przypadku Krzyczkowskich trwała nie dłużej niż sześć miesięcy. Berland swoje pismo skierował do Yad Vashem w grudniu 1987 r. (niestety, nie jest ono datowane, lecz z treści wynika, że napisane zostało kilka dni po otrzymaniu listu od Krzyczkowskiej, opatrzonego datą 20 listopada 1988 r.). Rada postanowiła odznaczyć Krzyczkowskich Medalem Sprawiedliwych na posiedzeniu w dniu 25 maja 1988 r. Co więcej, w teczce Krzyczkowskich przechowywanej w archiwum Yad Vashem znajduje się tylko list Haliny Krzyczkowskiej i pismo Mariana Berlanda. Wynika z tego, że pismo to stanowiło jedyną podstawę podjętej decyzji.

Zwróćmy uwagę na sposób, w jaki Berland przedstawia w swoim piśmie do Yad Vashem małżeństwo Krzyczkowskich.

Po pierwsze – nawiązanie znajomości. Nie ma tu słowa o żadnych „wspólnych interesach handlowych", jakie Krzyczkowscy mieli prowadzić z rodzicami Stasia Hofera jeszcze „przed wojną" (jak czytamy w artykule encyklopedycznym z 2004 r.). Zdzisław Krzyczkowski był szmuglerem: „przekradał się" do warszawskiego getta, „zakupywał u ojca Stasia buty, które ten produkował i następnie szmuglował je na aryjską stronę i tak przez pewien czas zarobkował. Stąd znajomość Stasia (Siama) ze Zdzisławem Krzyczkowskim".

Po drugie – kim byli Krzyczkowscy. Berland nic o tym nie pisze. Tak jakby 15 miesięcy spędzonych w ich mieszkaniu nie wywołało w nim jakichkolwiek refleksji o gospodarzach. Relacja dotycząca ukrywania się na Siennej 42 jest niezwykle lakoniczna. Zaczyna się zdaniem, które można potraktować bądź jako stereotypową formułę bądź też jako aluzję do czegoś, czego nie można lub nie chce się napisać wprost: „Mogę tylko powiedzieć, że żyliśmy w strasznych warunkach". Dalej Berland stawia niejako znak równości między losem pięciorga Żydów i dwojga Polaków. Łączyła ich bieda i zagrożenie śmiercią: „Biedowaliśmy razem z rodziną Krzyczkowskich, którzy byli tak samo biedni jak my. I oni żyli w stałej świadomości, że za ukrywanie Żydów grozi kara śmierci".

Po trzecie – ogólna ocena Krzyczkowskich. Berland formułuje ją w sposób zwięzły i jednoznaczny: „Nigdy, na przestrzeni całego tego okresu nie dali nam ani razu powodu obawy z ich strony, że nas wydadzą albo wypędzą na ulicę. Przeżyliśmy ten czas straszny tylko dzięki nim i przy ich pomocy. […] Zawsze zdawaliśmy sobie sprawę, że zawdzięczamy im życie i naszym obowiązkiem jest okazać im wdzięczność za to, co dla nas uczynili".

3.

List Haliny Krzyczkowskiej do Berlandów napisany był w Nasielsku 20 listopada 1987 r. Krzyczkowscy z artykułu w encyklopedii Sprawiedliwych pozostają dla nas anonimowi. Wiemy jedynie, że „ciepło przyjęli" pięcioro Żydów i ukrywali ich „nie prosząc o cokolwiek w zamian". Pismo Berlanda do Yad Vashem jest również powściągliwe, jeśli chodzi o wizerunek przyszłych Sprawiedliwych. Dowiadujemy się o ich „biedowaniu" w czasie okupacji i o tym, że blisko czterdzieści lat po wojnie „ci ludzie są już starzy, bezradni i chorzy i żyją w ciężkich warunkach materialnych". Dopiero jednak list od Haliny Krzyczkowskiej przynosi wstrząsający obraz egzystencji małżonków z Nasielska.

Jest to dokument jedyny w swoim rodzaju, dlatego zdecydowaliśmy się opublikować go dokonując wiernej transliteracji, aby w niczym nie naruszyć integralności językowego kształtu listu. Zdajemy sobie sprawę, że może to znacznie utrudnić czytelnikowi zrozumienie tekstu, ponieważ ortografia i stylistyka oryginału wystawia na surową próbę nasze językowe kompetencje. Jakiekolwiek „wygładzanie" tekstu, aby uczynić go bardziej zrozumiałym, sprzeniewierzyłoby się nie tylko elementarnej zasadzie edycji źródeł, lecz także zniszczyłoby podstawowy przekaz. Wartość tego dokumentu polega bowiem zarówno na jego treści, jak i na sposobie jej zapisu.

Halina Krzyczkowska rozpaczliwie błaga Berlandów o pomoc. Z prowincjonalnego miasteczka północnego Mazowsza zanosi swój lament, swoje dramatyczne *de profundis,* ku dalekiemu Izraelowi. Przynosi swoim dawnym podopiecznym iście Hiobowe wieści: litanię chorób trapiących ją i męża; galopującą drożyznę, która spycha małżonków na skraj nędzy; pochód cierpienia, nieszczęść i śmierci. Wszystko to wypowiedziane mową bełkotliwą, kaleką, jakby sam język, którym z trudem posługuje się Halina, dotknięty był nieuleczalną chorobą. Wszystko wokół rozpada się, gnije, umiera: ciało i mowa.

4.

Marian Berland pisał o Krzyczkowskich dwukrotnie. Po raz pierwszy podczas ukrywania się w ich mieszkaniu od połowy 1943 r. do wybuchu powstania warszawskiego w sierpniu 1944 r.[3] Po raz drugi z górą czterdzieści lat później w piśmie

[3] Marian Berland zaczął spisywać swoje wspomnienia jeszcze w mieszkaniu Krzyczkowskich, na wyraźną prośbę Basi Temkin–Bermanowej z Żydowskiego Komitetu Narodowego,

do Yad Vashem. Lektura tych dwóch świadectw jest szokująca. Praktycznie nic nie przeniknęło z notowanych na gorąco wspomnień do tekstu powstałego w 1987 r. Nie chodzi tu o oczywistą różnicę formy i objętości. Wątek Krzyczkowskich w zapisach wspomnieniowych jest bardzo rozbudowany. Pismo do Yad Vashem ograniczone było do pięciu stron rękopisu i z konieczności miało charakter streszczający podstawowe informacje. Szokująca jest jednak różnica tonu, w jakim Berland opowiada o swoich ratownikach. Zdzisio i Halinka (tak są nazywani w zapiskach okupacyjnych) w niczym niemal nie przypominają Zdzisława i Haliny z tekstu, który uruchomił procedurę nadania im tytułu Sprawiedliwych.

Zdzisio i Halinka to para lumpenproletariuszy z oficyny na Siennej. Stają się opiekunami pięcioosobowej grupki Żydów i od nich zależy teraz los ukrywających się. Kontrast między „gospodarzami" i „gośćmi" nie może być większy: poziom umysłowy, mentalność, miejsce zajmowane w hierarchii społecznej, którą wojna kompletnie rozbiła. Portret Krzyczkowskich nakreślony jest po mistrzowsku. Berland ma pióro cięte, acz zabarwione humorem, nie stroni od ironii, ale ma też wiele wyrozumiałości dla swych bohaterów. Jest przenikliwym obserwatorem życia codziennego, dlatego notuje mnóstwo arcyciekawych szczegółów obyczajowych. Jego opis wzajemnych relacji między Zdzisiem i Halinką oraz ich podopiecznymi stanowi znakomity szkic do psychosocjologicznego studium o doświadczeniu ukrywania i bycia ukrywanym w okupacyjnej Warszawie.

„Zdzisio jest młodym mężczyzną lat około trzydziestu, wysoki, przystojny, szczupły. Jasny blondyn o modrych oczach. [...] Halina, o kilka lat młodsza od Zdzisia, platynowa blondyna, wiele od niego niższa, o pospolitej urodzie" – czytamy u Berlanda. Oboje pochodzą z Nasielska. Są „prawie analfabetami i potrafią tylko z wielkim trudem odczytać zdanie w gazecie i wydrukować kulfonami swój podpis". Przed wojną „Zdzisio wiele razy figurował w kartotekach policyjnych. [...] Okresy, kiedy przebywał na wolności, można by śmiało porównać do krótkotrwałych urlopów". Jego głównym zajęciem było wabienie „naiwnych do gry w trzy karty albo w naparstki, niekiedy zaś w «czerwone wygrywa, a czarne przegrywa»". Zdzisio i Halina znali się od dzieciństwa, a namiętność małżeńskich kłótni znajdowała wyraz w charakterystycznej dla ich środowiska retoryce: Halinka kwestiono-

---

który od pewnego czasu wziął w opiekę grupę Żydów ukrywającą się na Siennej 42. Pisał po polsku. Fragmenty zostały opublikowane w piśmie „Przełom", organie prasowym Zjednoczonej Żydowskiej Partii Robotniczej „Poalej Syjon", powstałej z połączenia „Poalej Syjon-Lewicy" i „Poalej Syjon-Prawicy", w następujących numerach: 1946, nr 3; nr 4–5; 1947, nr 6–7; nr 8–9; 1949, nr 20. Żaden nie dotyczył okresu ukrywania się u Krzyczkowskich. Dwa lata po przyjeździe do Izraela Marian Berland przy pomocy przyjaciół wydał swoje wspomnienia po hebrajsku. W piśmie do Yad Vashem z 1987 r. podkreśla, że „*wydanie mojej książki stanowiło cel mego życia*". Polskim wydawcą wspomnień Berlanda była Niezależna Oficyna Wydawnicza. Książka wyszła w 1992 roku. Oryginalny tytuł „Strach przed jutrem" został za zgodą żony nieżyjącego już autora (Berland zmarł 17 lutego 1988 r.) zmieniony na *Dni długie jak wieki*. Wydawca zaznaczył, że „konieczne okazało się [...] dokonanie pewnych skrótów w stosunku do oryginału".

wała „sposób prowadzenia się" matki Zdzisia, on zaś przypominał jej, „pod którym płotem albo na którym cmentarzu użyczała swych wdzięków takiemu a takiemu zdobywcy serc niewieścich Nasielska". Wybuch wojny zbiegł się z końcem odsiadki Zdzisia, więc ten „zrejterował do Warszawy i już teraz postanowił nieodwołalnie prowadzić życie przyzwoitego człowieka. […] Najczęściej handlował na Pradze, na bazarze Różyckiego. Tam była jego baza". Na zakończenie tej charakterystyki Berland podkreśla: „Zdzisio ma swój honor, złodziejski to wprawdzie honor, ale honor, a to już wiele znaczy. […] Zdzisio mocno, z całą stanowczością stwierdza: – Kapusiem nigdy nie byłem i nie będę. Można mnie rżnąć – powiada – na kawały i nikt ode mnie nic nie wydostanie".

Sprawy materialne, czyli opłacanie pobytu u Krzyczkowskich, pokrywanie kosztów jedzenia, remontu i umeblowania mieszkania, finansowanie pomysłów, które miały przynieść Zdzisiowi zarobek, a kończyły się zazwyczaj bankructwem (ryksza, bazarowy handel kaszanką i salcesonem własnej roboty, a także bimbrem), zdobywanie przez ukrywających się środków do życia – to wszystko zajmuje we wspomnieniach Berlanda dużo miejsca. Już przy wstępnych ustaleniach warunków pobytu na Siennej kwestia opłaty nie podlega dyskusji. „Oczywiście będziemy mu płacili – zaznacza Berland – i na pewno tego nie pożałuje. […] Tak się wydaje, że trafiliśmy się w tej chwili Zdzisiowi jak ślepej kurze ziarno. […] Krzyczkowscy widzą się już w sytuacji, w której pozbyli się kłopotu i zmartwienia ze znalezieniem środków na utrzymanie. Będzie można odtąd zjeść do syta, nie głodować, wyszykować mieszkanie i – co najważniejsze – nie pracować. […] Będziemy płacili tygodniowo pięćset zł, niby to komorne, poza tym pokryjemy koszta materiału potrzebnego do wyszykowania skrytki i przygotowania mieszkania do przyjęcia nas". O tym wszystkim nie ma ani słowa w piśmie do Yad Vashem z 1987 r.

Okiem wytrawnego psychologa i satyryka jednocześnie śledzi Berland metamorfozę swoich gospodarzy. Pieniądze, które regularnie wpływają do domowej kasy, pozwalają na stopniowe, ale systematyczne podnoszenie poziomu życia. Coraz lepsze jedzenie, coraz elegantsze ubranie, coraz większe aspiracje, coraz większe pokusy zarobku i coraz fantastyczniejsze plany rozkręcenia kolejnych interesów. A przy tym coraz więcej wypitej wódki, gwałtownych małżeńskich kłótni i namiętnego godzenia się. Sprawa pieniędzy jest jednym z dominujących motywów opowieści o Krzyczkowskich. Świat Zdzisia i Halinki obraca się bowiem wokół pieniądza. Ukrywający się u nich Żydzi doskonale zdają sobie z tego sprawę. Prowadzą ze Zdzisiem – jak określa to Berland – „małą zimną wojnę psychologiczną". Nie mogą zdradzić, że jest dla nich „ostatnią deską ratunku", aby nie popaść w całkowitą zależność od niego. Kierują się zasadą skrajnej nieufności, nie zdradzają źródeł i wysokości swoich zasobów materialnych. Ulegają jednak rosnącym apetytom gospodarzy, wiedząc, że kupują w ten sposób życie. Taką właśnie zasadę sformułował po pewnym czasie sam Zdzisio, stawiając coraz to nowe żądania finansowe: „Żydzi muszą płacić za swe życie".

W swoim piśmie z 1987 r. Berland podkreśla, że Krzyczkowscy „nigdy, na przestrzeni całego tego okresu nie dali nam ani razu powodu obawy z ich strony, że

nas wydadzą albo wypędzą na ulicę". Najwyraźniej po czterdziestu latach pamiętał inaczej sceny, które rozgrywały się na Siennej 42. W pisanych na gorąco wspomnieniach podaje nie tylko przykłady oszustw Haliny („Od miesięcy oszukuje nas już bezczelnie i okrada na wadze zakupionych produktów"), lecz także pisze o jej utyskiwaniach na uciążliwość lokatorów i o nakłanianiu Zdzisia, aby się ich pozbył. „Jesteśmy zupełnie roztrzęsieni i rozbici ze strachu. [...] Tak Zdzisio, jak i Halina nie użyczają nam chwili spokoju i wytchnienia. [...] Jedyne lekarstwo, jedyny sposób, aby kupić sobie kilka chwil spokoju, [...] to trzymać bez przerwy mieszek otwarty, czerpać z niego bez przerwy i dawać, dawać, płacić bez końca za każdy oddech. [...] Ani Zdzisio, ani Halina nie pozwolą nam u siebie posiedzieć choćby o głodzie nawet jednej godziny za darmo". Krzyczkowscy wielokrotnie szantażowali przechowywanych Żydów, że sprzedadzą mieszkanie i zostawią ich w środku.

Najdrastyczniejszą sceną jest rewizja osobista, jakiej poddana została cała piątka ukrywających się. Wypominając Zdzisiowi, że kiedy inni bogacą się na „trzymaniu Żydów", on nic z tego nie ma, Halina podjudza: „Ty baranie, dajesz się bajerować, oni cię kołują, jak chcą. Są nadziani forsą. [...] Obszukajmy ich i znajdziesz całą forsę. Trzeba ich zrewidować". Krzyczkowscy rewidują skrupulatnie swoich podopiecznych, ale nie znajdują przy nich tego, czego się spodziewali – „wielkiego majątku".

Pożegnanie z Krzyczkowskimi ma swą symboliczną wymowę. Tej sceny nie ma w piśmie z 1987 r. Nie ma jej tym bardziej w artykule encyklopedycznym z roku 2004. Zaczęło się właśnie Powstanie Warszawskie. W mieście toczą się walki. Po 15 miesiącach ukrywania Marian Berland wraz z towarzyszami niedoli opuszcza mieszkanie na Siennej. Zdzisio żegna ich słowami: „Jak wyjdzieta, już więcej do mieszkania nie wpuszczę. Już więcej do mojego mieszkania nie wejdzieta. Nie chcę ludziom na śmiech się pokazać, że Żydów u siebie chowałem".

List Mariana Berlanda do Yad Vashem, 1987 rok

O czym chcę tu opowiedzieć dzieje się w Warszawie na początku czerwca 1943 r. na terenie byłego ghetta Warszawskiego obecnie już oczyszczonego z Żydów, których przed krótkim dopiero czasem, bo wszystkiego przed kilku zaledwie miesiącami, wypędzono stąd, wywieziono siłą i spalono żywcem w Treblinkach, Majdankach i innych temu podobnych nazwach tak zrośniętych z losem Żydów Warszawy i Polski.

Jak już powiedziałem, jest początek czerwca 1943 r. Miesiąc temu ja, żona moja, siostra, przyjaciel mój Hoffer Beniamin i jego bratanek Stasio Hofer (Siame) chłopiec 14 lat. Wszyscy my zdołaliśmy wyskoczyć i uciec z jadącego pociągu, który wiózł nas prosto z płonącego ghetta w Warszawie, poprzez „Umschlag Platz" do jednego z obozów zagłady na wschodzie, może do Treblinki, a może na Majdanek. (Wydaje mi się, że pociąg ten zdążał na Majdanek k. Lublina). Jak już powiedziałem, udało nam się uciec w nocy z pędzącego pociągu. (Ojciec mój został zastrzelony gdy wychynął się z okienka na górze wagonu, przez Ukraińca, który wartował na dachu wagonu.) Matka moja i reszta naszej rodziny pojechali na zagładę.

Po wielu perypetiach, przy których wiele filmów pełnych napięcia są tylko sielanką i jeszcze większą dozą szczęścia, które nam wówczas dopisywało udało nam się po kilku dniach ukrywania się w laskach i zagajnikach wrócić zpowrotem do Warszawy.

W Warszawie spotkaliśmy się już po aryjskiej stronie w skrytce, zawczasu przygotowanej i zorganizowanej przez naszych znajomych i przyjaciół jeszcze przed powstaniem i spaleniem ghetta Warszawskiego.

To mieszkanie w skrytce znajdowało się w Warszawie na terenie byłego Małego Ghetta przy ul. Grzybowskiej Nr 4. Rodzina Bromberg nabyła to mieszkanie przy pomocy pary Polaków, którzy nawet nie byli oficjalnym małżeństwem i którzy mieli w nim mieszkać i ukrywać znajdujących się w nim Żydów, oczywiście za odpowiednią zapłatą.

W skrytce tej już wtedy było stłoczonych na powierzchni kilkunastu metrów^2 27 osób. Przedsięwzięcie to było skazane na niepowodzenie, przeważnie z powodu wielkiego skupiska ukrywających się. Po miesiącu ukrywania się w nieludzkich poprostu warunkach, skrytka została „spalona" (odkryta) i wszyscy my Żydzi musieliśmy w popłochu ją opuścić i uciekać. Para polska poprostu zostawiła nas samym sobie i nie wróciła więcej do mieszkania.

Kto z ukrywających się tam Żydów nie zdołał znaleźć sobie innego miejsca miał przed sobą tylko jedno wyjście – oddać się w ręce Niemców.

My znowu po wielu przygodach i szczęśliwych zbiegach okoliczności, o których nie tu miejsce się rozpisywać, znaleźliśmy miejsce u Zdzisława i Haliny Krzyczkowskich, którzy zamieszkiwali mieszkanie pożydowskie przy ul. Siennej 42 w Warszawie, też na terenie byłego małego ghetta. Krzyczkowscy przyjęli wtedy mnie, żonę moją, siostrę moją Teosię, Benjamina Hofera i Stasia (Siamę) Hofera.

Zdzisław Krzyczkowski w swoim czasie, kiedy jeszcze istniało ghetto w Warszawie i było zamieszkane przez Żydów, przekradał się do niego, zakupywał u ojca Stasia buty, które ten produkował i następnie szmuglował na aryjską stronę i tak przez tamten czas zarobkował. Stąd znajomość Stasia (Siame) z Zdzisławem Krzyczkowskim. Drogi i losy ludzkie są zaprawdę niezbadane.

Od czerwca 1943 r. aż do wybuchu Powstania Warszawskiego 1 sierpnia 1944 r. ukrywaliśmy się u Krzyczkowskich w ich mieszkaniu w Warszawie przy ul Siennej 42–15 miesięcy.

Razem było nas pięć Żydów. Mogę tylko to powiedzieć, że żyliśmy w strasznych warunkach. Biedowaliśmy razem z rodziną Krzyczkowskich, którzy byli tak samo biedni jak my. A oni żyli w stałej świadomości, że za ukrywanie Żydów grozi kara śmierci. Nigdy na przestrzeni całego tego okresu nie dali nam ani razu powodu obawy z ich strony, że nas wydadzą, albo wypędzą na ulicę. Przeżyliśmy ten czas straszny tylko dzięki nim i ich pomocy. Trzeba pamiętać, że w tym czasie prawie że niemożliwym było znaleźć schronienie dla samego tego Żyda jednego choćby na jedną godzinę. A co tu powiedzieć o 15 miesiącach i to dla pięciu Żydów. Jeżeli udało nam się przeżyć wojnę to dzięki Krzyczkowskim.

Pragnę też zaznaczyć, że ze skrytki na ul. Grzybowskiej 41 nikt nie przeżył wojny. Część ukrywających się Żydów poszło do Hotelu Polskiego a następnie

została rozstrzelana w Rembertowie k/Wa-wy. Część zaś, jak rodzina Bromberg, Goldberg i inni nie mieli dokąd uciec i schronić się i poprostu zostali w mieszkaniu aż przyszli Niemcy i zabrali ich stamtąd. (...) Odnaleźli oni nas dopiero po wojnie w Warszawie w 1946 r. Tak my jak i oni znajdowali się wtedy w bardzo ciężkich warunkach.

Przedtym jednak pragnąłbym opowiedzieć jak los pokierował naszą piątką.

Otóż siostra moja umarła na ciężką gruźlicę, z wycieńczenia i z braku wszelkiej pomocy na krótko przed wybuchem powstania.

Stasio (Siame) Hofer został zamordowany (zastrzelony) w powstaniu z premedytacją w rowie przeciwtankowym w Warszawie przy al. Komitetowej. Zabili go powstańcy z ugrupowania N.S.Z., w pierwszych dniach powstania dlatego tylko, że był Żydem i nie był w stanie nawet chodzić. Po 15 miesiącach siedzenia w ciasnej skrytce w mieszkaniu Krzyczkowskich, poprostu nogi go nie niosły.

Przeżyłem ja, żona moja i Beniamin Hofer. Krzyczkowscy odnaleźli nas w Warszawie w 1946 r. W miarę naszych możliwości staraliśmy się im wtedy pomóc w różny sposób. Przeważnie materialnie. Zawsze zdawaliśmy sobie sprawę, że zawdzięczamy im życie i naszym obowiązkiem jest okazać im wdzięczność za to co dla nas uczynili. Za to że narażali własne życie aby nas ratować.

Nasze drogi z Krzyczkowskimi znowu się rozeszły. Po wielu latach odmowy w lutym 1956 opuściliśmy Warszawę i wyjechaliśmy do Israela. Ja, żona moja i Benjamin Hofer. Tylko my we trójkę. Wszyscy zostali tam.

Po przyjeździe do kraju przy pomocy naszych przyjaciół Yad Vashem wydał moją książkę, napisaną w mieszkaniu Krzyczkowskich, przedstawiającą ostatnie dni Ghetta Warszawskiego, a właściwie powstanie w Ghetcie Warszawskim. Książka ta nosi tytuł *Dni długie jak wieki*. W owym czasie wydanie mojej książki stanowiło cel mego życia.

W dwadzieścia lat potym, dokładnie 18 kwietnia 1963 roku Benjamin Hofer zakończył życie, umarł na raka i jest pochowany w Tel-Avivie.

Kontakt nasz z Krzyczkowskimi był przerwany przez wiele lat. Dopiero przed dwoma laty, gdy dowiedzieliśmy się, że oni są w ciężkich warunkach materialnych staraliśmy się im pomóc, posyłając kilkakrotnie paczki z różnymi rzeczami. Okazało się, że pomoc ta była bardzo na czasie. Ale niestety niewystarczająca.

W ostatnich dniach otrzymaliśmy od Krzyczkowskiej błagalny list z prośbą o pomoc. Ci ludzie są już starzy, bezradni i chorzy i żyją w ciężkich warunkach materialnych w małym prowincjonalnym mieście Nasielsku. My z naszej strony oczywiście wyślemy im znowu paczki, ale to jest niewystarczające i małym zadośćuczynieniem co dla nas uczynili.

Ostatnio dowiedzieliśmy się, że jest w możliwości pomóc im przez Organizację Żydowską, która w tym celu została stworzona. Dlatego zwracamy się do Was z gorącą prośbą, aby uznać Zdzisława Krzyczkowskiego i Halinę Krzyczkowską jako ludzi godnych Waszej pomocy, jako ludzi, którzy w tym strasznym czasie zaryzykowali swój własny los i uratowali życie kilku Żydów przeznaczonych na zagładę. Co niewątpliwie tak by się stało gdyby nie pomoc tych dwojga ludzi.

List Haliny Krzyczkowskiej do Mariana Berlanda z 20 listopada 1987 roku

Ukochani Państwo Berland niewiem dlaczego nie piszecie donacz wcale czynie chcecie znami korespondencji prowadzić niewiem cosie stało ówasz jakmi naten list nie odpiszecie to jusz więcej niebede pisac dowasz jestemi chore Zdzisiek i ja miałam zawał serca 5 maja 87 roku to latoś i źle się czuje co 3 dni jestem ulekaża i pielęgniarka przychodzi do domu i jusz pare mięsiecy jusz dajem zatrzyki co dzien na wzmocnienie ateraz przeziębiłam sie i dostałam zapalenie oskszeli i tezapalenie oskszeli przeziębiłam i dostałam grypy że niemogie sie wyczapigać ztej chorobi i lekasz twierdzi że bendzie 2 zawał serca tak mie lekaże pocieszyli mie bola plecy i boki i pierś tak było że miałam bule piersi i pleców 2 razy takie ataki jak nie wdzień to znów o piatej mie straszne bule brały potej streptomycynie tak było bez 2 tygodnie co dzieni żadne leki przeciw bulowe mi jusz nie pomagały leżałam miesionc wcale nie chodziłam i zaras Zdzisiek jest chory na grype wysech i ja wyschłam i zsył opadlim teras widać namie starość jeści niemożemy niema apetytu wcale jabłka wymarzły i drogie są 350 złotych za kylo cytryn wcale niema jak były to 600 zł zakylo i tak fszystko jusz drożeje co 2 tygodnie ina cena jest a ponowym roku ma jeszcze wiecej jusz zdrozyc cherbaty niema dobry tylko z Jaśmilu lyście i kfiaty ale nieczęsto jesto ona jest dobra ale trzeba ją ułapać, aja leże więcej niysz chodzie to chtomi kupi i przypilnuje kiedy jest odpiszecie mi janie niechce odwasz choc mi jest cieszko zjednej pesj żyć japesja jest nie 11 tysiecy 200 zł [dwa nieczytelne wyrazy] jeszcze robi buty musie rozwaliły woda cieknie chodzi w gumiakach deszcze padajo całe lato i jesieni jusz się niechce żyć z tym deszczem pada i pada wiecznie ludzie zebrać niemogli zboża z pola żniwa były w Wrześniu dopieru pare dni było przerwy izboże w suszarniach dosuszali zboże chleb jest czarny płaski niedojedzenia nienadaje sie tylko dla kur świyni takie latoś, były zbiory i mrus był we Wżeśniu jak nigdy niebyło żadnego roku tak jak latoś Zdzisiek nosi buty 11 numer największy czekam na list zasyłam ukłony dla Pani Marj i Pana Marjana Berlantów odnasz i dzieci i Wnuków jedno ma 13 chłopak dziewczynka ma 14 lat taśrednia niema dzieci wcale ten wnucze z wasami tobył pobity strasznie iemu oka wyjeli ateras zabili go i powiesili na sztachetach na [kilka nieczytelnych wyrazów] curce zmarłej leży na Brudnie z Matko swojo razem w jednej pieczarze i z teściowo i jest miejsce dla zięcia tylko jedne ludzie unasz umierajo 3–4 i r jest pogżebów dziennie na ulicy upadajo na wylewy i zawały serca i paraliże nie więcej to gorsz jak rak bo ido ulico i pada i wylew do muzgu i paralisz jak Ciotka stara 86 lat i nato umarła w domu Wnuczek miał 22 lata wracał od dziewczyny odszet ze 400 metrów i tak się stało niewiadomo chto i cosię stało zniym konicze ten list i pozdrawiam Państwa oboje do zobaczenia.

Dziennik Mariana Berlanda pisany w czasie ukrywania się u Krzyczkowskich

Podróż na Sienną przechodzi bez żadnych przygód. Poszliśmy piechotą, spory to kawał drogi, ale dzisiaj mniej się znacznie zmęczyłem niż poprzednim razem, idąc w tę stronę. Nogi poranione też trochę odpoczęły i nawet buty tak nie uwierają.

Do domu Zdzisia wchodzimy przez sień od strony Śliskiej. Kamienica ta wychodzi na dwie równoległe ulice – Sienną i Śliską. Sień, przez którą wchodzimy, jest też frontowym wejściem do mieszkania Krzyczkowskich. A więc mieszkanie ich posiada dwa wejścia: frontowe i kuchenne. W moim przypadku jest to bardzo wygodne, choćby dlatego, żeby sąsiadka z balkonu nie widziała, że obcy mężczyzna wszedł do Zdzisia. Lepiej będzie, gdy dostanę się do mieszkania od tyłu, przez nikogo nie widziany. Marysia idzie na górę używanym przez wszystkich obecnie wejściem kuchennym, a ja czekam w klatce schodowej na czwartym piętrze. Po kilku minutach słyszę chrobot klucza w zamku i wysoki mężczyzna w poplamionym niebieskim kombinezonie otwiera mi drzwi. Jest to Zdzisio we własnej osobie.

Natychmiast wszedłem i wpadłem prosto w objęcia małego Stasia, który tak się uradował, jakby mnie przez lata nie widział. Mało się chłopiec z radości nie popłakał. Przede wszystkim dopytuje się o wujka. Uspokajam go. U Hoffera wszystko w porządku, jest zdrów i cały. Za kilkanaście dni sprowadzi się do nas, gdy z grubsza uporamy się z przygotowaniem skrytki. Halina oczywiście też jest w mieszkaniu. Stasio nie omieszkuje mnie przedstawić.

No i wreszcie mamy nowych opiekunów. Jacy oni się okażą, jak nam się tu będzie żyło? Bóg jeden raczy wiedzieć. Rozpoczyna się nowy etap na naszej drodze do przetrwania. W życiu naszym zaczyna się nowa era. Era Zdzisia i Haliny Krzyczkowskich.

Zdzisio jest młodym mężczyzną lat około trzydziestu, wysoki, przystojny, szczupły. Jasny blondyn o modrych oczach. Gdy się śmieje, ukazuje wprawione z przodu zęby z białego metalu. Halina, o kilka lat młodsza od Zdzisia, platynowa blondyna, wiele od niego niższa, o pospolitej urodzie. Oboje stanowią przeciętne typy urody polskiej. Tak Zdzisio, jak i Halina urodzili się w Nasielsku, kilkadziesiąt kilometrów na północ od Warszawy. Nasielsk jest małym. miasteczkiem i z całą pewnością zapadłą dziurą, gdzie każdy każdego zna i każdy o każdym wszystko wie. Ani Zdzisio, ani też Halina nie splamili się przebywaniem choćby jednego dnia w jakiejkolwiek szkole. Nie wiadomo, czyja to wina, ale faktem jest, że oboje są prawie analfabetami i potrafią tylko z wielkim trudem odczytać zdanie w gazecie i wydrukować kulfonami swój podpis. Ojciec Zdzisia już wiele lat nie żyje. Matka zaś jego, jak też i matka Haliny, dotychczas mieszkają w Nasielsku. Jeden ze starszych braci Zdzisia trudnił się malarstwem pokojowym i Zdzisio przez pewien czas pomagał mu w robocie. Dlatego też twierdzi dzisiaj o sobie, że jest malarzem artystą.

Jeszcze przed wojną Zdzisio wiele razy figurował w kartotekach policyjnych. Po wkroczeniu Niemców do Nasielska wolał zejść im z oczu i dobrowolnie wyemigrował do Warszawy. Już przed wojną nie był zbyt gorącym zwolennikiem domowego ogniska. Wdrażanie przez ojca do uczciwego, przyzwoitego bytowania nie przemogło zamiłowania do podróży, łazikowania i łatwego, nieuczciwego sposobu zdobywania pieniędzy. Zdzisio już w młodzieńczych latach, gdy raczej powinien siedzieć w ławce szkolnej i uczyć się pisać, zasmakował we włóczędze pociągami, pod ławkami, w ubikacjach, na dachach, w towarowych wagonach, jednym słowem – na gapę. Od tego taniego sposobu poznawania świata przylgnął do Zdzisia

chwalebny tytuł nadany mu przez kolegów: „Gapiarz". Już wtedy porobił pierwsze znajomości z policją. Na razie zapoznał się z komisariatami i lżejszymi zakładami karnymi, rozsianymi w szerokim promieniu od Nasielska. Zdzisio nie przepuścił, jeżeli w czasie tych darmowych wycieczek udało mu się coś ściągnąć. Pakunek, teczka czy też portfel śpiącego albo roztargnionego podróżnego były zbyt wielką pokusą. Wobec tego, że szczęście niezbyt mu przy tych wyczynach dopisywało, odsiadki stawały się coraz dłuższe i w coraz twardszych zakładach karnych. Okresy, kiedy przebywał na wolności, można by śmiało porównać do krótkotrwałych urlopów. W końcu ten sposób życia na państwowym wikcie zbrzydł Zdzisiowi; postanowił on ustatkować się i wstąpić na uczciwą drogę. Zarobić na chleb pracą. Ale jak to wyglądało?

Zdzisio jest zdolny, trzeba mu to przyznać, i ma niezwykle zręczne palce. Niestety, właściwości tych nie wykorzystał do gry na pianinie. W okolicznych miasteczkach podczas jarmarku albo odpustu Zdzisio przywabiał naiwnych do gry w trzy karty albo w naparstki, niekiedy zaś w „czerwone wygrywa, a czarne przegrywa". I tak z ferajną naganiaczy przerabiał cwaniaków z jakiegoś Pipidówka. Niestety i ten „uczciwy" sposób prowadzenia się Zdzisia nie znalazł zrozumienia i uznania u wszędobylskiej policji i agentów cywilnych. Kilka razy udało się na czas zwinąć kasyno gry i zniknąć. Ale w końcu zafasował grubszą odsiadkę. Właśnie koniec tego korzystania z państwowej kwatery zbiegł się z wybuchem wojny. Ponieważ Niemcy dużo sprawniej załatwiali się z wyczynowcami w rodzaju Zdzisia niż dawne władze polskie, po prostu wykańczali ich zazwyczaj bez pomocy sądu i wyroku albo w najlepszym wypadku transportowali do obozu koncentracyjnego. Zdzisio zrejterował do Warszawy i już teraz postanowił nieodwołalnie prowadzić życie przyzwoitego człowieka.

W Warszawie w pierwszym okresie wojny Zdzisio obijał się po bazarach. Trochę handlował, nierzadko rzeczami, które rozstały się ze swym właścicielem nie drogą normalnej transakcji handlowej. Najczęściej handlował na Pradze, na bazarze Różyckiego. Tam była jego baza. Niezbyt intratny był ten handel i Zdzisio z Haliną raczej biedowali w tym czasie. Ale oto czasy się poprawiły. Nastały żniwa. Niemcy w Warszawie utworzyli getto i zamknęli za jego murami pół miliona Żydów. Teraz już wszystko, co się kupi po aryjskiej stronie, można przerzucić albo przeszmuglować do getta i dobrze przy tym zarobić. Różnica w cenach jest dość pokaźna. Trzeba tylko trochę zaryzykować, a to dla Zdzisia nie pierwszyzna. I tak do czasu wielkich wysiedleń handel szedł i Zdzisio sobie dobrze radził. Przedostawał się zazwyczaj do getta z jakąś grupą robotników Żydów powracających wieczorem z pracy po aryjskiej stronie. Nocował w getcie u znajomych, a za dnia zakładał na rękaw białą opaskę z wyszytą na niej gwiazdą Dawida. Tak przybrany, mógł się poruszać, nie będąc przez nikogo nagabywanym. Z wieczora udawało mu się przenieść zwykle przez wachę do getta plecak wypchany żywnością. Odsprzedawał ją stałym odbiorcom, u których nocował, w tym wypadku rodzicom Stasia. Kiedyś przedtem zupełnie przypadkowo Zdzisio zaczepił Stasia na ulicy w getcie i zapytał go, czy nie wie, gdzie można kupić buty. Zbieg okoliczności. Stasio prosto zaprowadził go do

swego ojca, który trudnił się wyrabianiem obuwia. Od tego czasu zawiązała się ta dziwna znajomość.

Długo, bo aż do połowy 1942 roku, Zdzisio kilka razy w tygodniu wkradał się do getta, przynosił do rodziców Stasia plecaki żywności i w zamian wynosił po kilka, a niekiedy po kilkanaście par butów. Wraz z zapoczątkowaniem wysiedleń kontakt Stasia ze Zdzisiem urwał się. Rodzice chłopca zostali wywiezieni w tym czasie i zginęli w obozach śmierci. Stasio przetrwał wysiedlenia ukryty w jakiejś dziurze i potem zamieszkał u swego wujka, Hoffera. Do ostatniego getta ani Zdzisio już nie mógł się przedostać, ani nie było już po co się pchać. Handel ustał. W rezultacie Zdzisio zaczął na nowo biedować. Skończyło się siedem lat tłustych.

Z Haliną Zdzisio znał się jeszcze od dzieciństwa. Już w czasie, gdy utrzymywał swoje kasyna gry po jarmarkach, Halina wydatnie mu pomagała w prowadzeniu interesu. Od jej pomocy wówczas zależało znacznie powodzenie przedsiębiorstwa. Poza tymi zajęciami jej życie nie było wolne od innych, cięższego kalibru uchybień, które obecnie Zdzisio przy byle okazji wypomina. Okazji zaś jest bardzo wiele, aż za wiele, i nikt nikogo tu nie oszczędza. Małżeństwo sobie wzajemnie rozstawia rodzinę po kątach, że aż miło. U niej najmilszą pieszczotą jest, gdy może postawić w wątpliwość niezbyt prawidłowe pochodzenie Zdzisia i zakwestionować sposób prowadzenia się jego rodzicielki. Zdzisio w odpowiedzi raczy przypomnieć Halinie, pod którym płotem albo na którym cmentarzu użyczyła swych wdzięków takiemu a takiemu zdobywcy serc niewieścich Nasielska. Poza tymi miłymi incydentami wszystko jest dobrze, małżeństwo jest zgodne i na ogół powiedziawszy, pasują do siebie.

Na zakończenie trzeba jedno mocno zaakcentować. Zdzisio ma swój honor, złodziejski to wprawdzie honor, ale honor, a to już wiele znaczy. Zdawałoby się, że jest to człowiek bez charakteru, a jednak nie. Zdzisio mocno, z całą stanowczością stwierdza:

– Kapusiem nigdy nie byłem i nie będę. Mnie można rżnąć powiada – na kawały i nikt ode mnie nic nie wydostanie.

Dla nas ostatnie stwierdzenie jest istotne, wszystko inne nie ma obecnie żadnego znaczenia. Ot, tylko pogaduszki przy szklance bimbru.

(...)

Śpimy na podłodze, na gołych deskach. Nie mamy żadnej pościeli, ani co podłożyć, ani czym się przykryć. W dzień ciepło, ale w nocy trochę chłodno i marzniemy. Uciekając z Grzybowskiej z Hofferem i Leosią, Marysia zdołała jeszcze w ostatniej niemal chwili zabrać ze sobą moje spodnie i marynarkę, rzeczy, w których wyskoczyłem z wagonu. Ubranie to teraz bardzo mi się przydało. Nie miałbym w czym chodzić po domu i pracować przy cegłach. Mego granatowego garnituru szkoda i oszczędzam go jak mogę. Jest to jedyne moje ubranie zdatne do wyjścia, gdy zajdzie tego potrzeba.

Marysia wróciła dopiero następnego dnia. Na Żoliborzu zastała wszystko w porządku. Hoffer i Leosia zdrowi i chcieliby bardzo jak najszybciej przejść do nas. Hoffer tak się zżył ze Stasiem, że ten wcale nie będzie zadowolony, gdy straci kom-

pana do kieliszka. Nawet Cesia się udobruchała i wcale nie nalega, aby Hoffer z Leosią się wynieśli. Słodkie jednak życie u Stasia wcale Hoffera nie cieszy. Wychodzi on z założenia, że nie możemy sobie pozwolić na luksusy i jednocześnie opłacać i szykować mieszkanie u Zdzisia. Niedługo pociągniemy, prowadząc dwa domy. Wydatki są olbrzymie, wprost nas przerażają i wywołują niemalże panikę. Trzeba jak najszybciej z tym skończyć. Musimy więc przyspieszyć przyjście Hoffera z Leosią, nie czekając na całkowite wykończenie skrytki. Trzeba pogadać ze Zdzisiem i ustalić termin. Co do ratowania Brombergów Hoffer też jest za tym z całego serca. Kto pójdzie na Grzybowską wybadać teren? Dla Marysi jest to zbyt wielkie ryzyko.

Tak się złożyło, że dopiero wczoraj wieczorem Cichocki przyniósł Hofferowi pieniądze za sto dolarów, które Marysia przed kilkoma dniami u niego zostawiła. Wcześniej podobno nie mógł tego załatwić. Przyszedł do Stasia właśnie w tym czasie kiedy była i Marysia. Cichocki dobrze się zna z Brombergiem. Hoffer uprosił go więc, aby choćby z litości poszedł na Grzybowską i dowiedział się u dozorcy Adolka, co się tam dzieje. Cichocki przyrzekł, że wstąpi tam zaraz nazajutrz po pracy i o rezultacie odwiedzin powiadomi Hoffera. Marysia natomiast za dwa dni ma powtórnie przyjść na Żoliborz, aby dowiedzieć się, co Cichocki załatwił, i zawiadomić jednocześnie Hoffera o terminie przeprowadzki na Sienną.

Marysia przyniosła ze sobą trochę pieniędzy. Podzieliliśmy się nimi ze Zdzisiem i wypłaciliśmy mu należną tygodniówkę. Przyniosła też od starego Stasia spory kawałek wędliny dla małego Stasia.

Gospodarstwo nasze tutaj już od pierwszego dnia prowadzimy oddzielnie, i to tak skromnie, jak tylko się da. Na śniadanie czarny chleb z margaryną i kawa bez mleka, słodzona sacharyną. Na obiad trochę zupy, w niej kilka kartofli i klusek. Zupa słabo okraszona przesmażoną słoniną. Po wierzchu zupy pływają rzadko rozsiane skwarki. Na kolację też chleb i kawa. Na razie i zupę, i wodę na kawę Marysia gotuje u Haliny na kuchence. Krzyczkowscy dzięki otrzymywanej pensji odżywiają się teraz znacznie lepiej jak poprzednio. Halina może sobie pozwolić na kupno mięsa i wędlin. Na razie przeto są bardzo zadowoleni z układu, jaki z nami zawarli. My też nie narzekamy. Nic im na razie nie możemy zarzucić. Zdzisio, który dotychczas kręcił się bezczynnie, zbijał bąki, albo wylegiwał się całymi dniami na wyrku, obecnie ma zajęcie i nawet z zadowoleniem pracuje. Jak dotychczas, nie potrafił w żaden sposób nic wymyślić, jak zarobić na życie i niezbyt się przy tym utrudzić. Teraz jest jakby na właściwym torze. Para się czymś zakazanym, przeciwnym „prawu" i ciągnie z tego zysk. Halina też odżyła, może iść do sklepu po zakupy i ma za co je poczynić. I najważniejsze, może się najeść do syta, uczucie, którego dotychczas nieczęsto doświadczała.

Zaaferowani pracą, nie ściśnięci w komórce wśród dużej grupy wymęczonych, zastraszonych Żydów, czujemy się na razie lepiej niż poprzednio. Wydaje się, że jesteśmy mniej przygnębieni, spokojniejsi. W towarzystwie niemalże prostaków czujemy się mniej przytłoczeni i nie odczuwamy tak bardzo jak poprzednio swego poniżenia, w które popadliśmy. Na razie przeto bardzo nam się tu podoba. Mały Stasio jest szczęśliwy, że i on się na coś przydał i że dzięki jego znajomościom znaleźliśmy w krytycznym momencie tak dobre locum.

Przygotowania do budowy skrytki intensywnie posuwają się naprzód. Zdzisio gromadzi coraz więcej cegieł i piasku. Znoszą niezmordowanie oboje z Haliną materiał. Już cały pokój jest zawalony cegłą, nawet i wapno gdzieś sprokurował. Halinie harówka ta dała się porządnie we znaki, narzeka, że już ma dość, jest zmordowana dźwiganiem cegły, nie ma sił i że już na pewno dość naznosili. A Zdzisio nic tylko twierdzi, że jeszcze mało.

– Znoś – mówi. – Nie mądrzyj się dużo, aż ci powiem, że dosyć. Ja lepiej wiem, ile cegły i piachu potrzeba.

My nie wtrącamy się, aby jej nie rozdrażnić jeszcze bardziej.

Gdyby ktoś z nas mógł zejść na podwórze i pomóc, chętnie by to uczynił. W tym jednak cała rzecz, aby nas nikt nie widział. Gromadzenie budulca ma się już jednak ku końcowi. Według prowizorycznego obliczenia już niewiele brakuje. Zdzisio, który autorytatywnie kieruje całą robotą, oświadcza, że jak tylko materiał zostanie w dostatecznej ilości zebrany, natychmiast przystąpi do zamurowywania drzwi frontowych, a potem dopiero zacznie wznosić ścianę w pokoju. Na dzień albo dwa wcześniej chce, aby Hoffer z Leosią przenieśli się z Żoliborza. Chodzi o to, aby ich sprowadzić do mieszkania tym wejściem. Zupełnie słusznie i rozsądnie.

Jak z bicza strzelił minęły dwa dni od ostatniej bytności Marysi na Żoliborzu i wypada jej znowu tam iść. Kontakt ten musimy jeszcze często utrzymywać, chociażby do czasu, gdy wszyscy znajdziemy się razem. Później już wyprawy do miasta będzie można ograniczyć. Zdzisio zaczyna już okazywać niezadowolenie, Halina mu wtóruje. Chciałby nas zamknąć na cztery spusty i odizolować od zewnątrz. Zgadzamy się w pełni na surowy rygor w tym względzie. Nikt z nas nie ma zamiaru wałęsać się bez potrzeby po mieście, tym bardziej wychodzić z mieszkania, gdzie najbezpieczniej, po to aby się przewietrzyć bądź przespacerować. Niczego więcej teraz nie pragniemy jak możności spokojnego przebywania w ukryciu. Ale kontakt z miastem, z ludźmi z zewnątrz musimy utrzymać. Przynajmniej Marysia musi jeszcze opuścić mieszkanie, aby przeprowadzić Leosię i Hoffera. Potem trzeba będzie co pewien czas widywać się z Cichockim w sprawie wymiany pieniędzy.

Mamy też w planie, ale to już zostawiamy na później, poczynienie prób zdobycia z innych źródeł części środków potrzebnych na życie. I wtedy też tylko Marysia może się udać w tym celu do miasta. Nie wiemy, jak się wyklaruje ostatecznie sprawa z Brombergami. Gdyby ktoś od nich postanowił się u nas skryć, tylko Marysia może go sprowadzić. Nie sposób się przeto zgodzić na takie postawienie sprawy, że siedzimy tu zamknięci wszyscy, bez możliwości skomunikowania się ze światem. Nie chcemy też dopuścić, aby w świadomości Krzyczkowskich skrystalizowała się prawda, że wszystkie posiadane przez nas środki materialne mamy przy sobie. Zdzisio musi być przekonany, że pieniądze otrzymujemy każdorazowo z zewnątrz. Nie dowierzamy nikomu i od tego, czy uda nam się w tym względzie przekonać Krzyczkowskich, zależy może nasze życie i możność ukrywania się u nich. Postanawiamy przeto już teraz, na samym początku, zaasekurować się na przyszłość i uzyskać z góry placet Zdzisia na późniejsze konieczne opuszczanie przez Marysię mieszkania. Musimy go już teraz utwierdzić w tym, że gdy Marysia nie będzie mo-

gła wyjść, nie będziemy mieli za co tu przebywać i że nikt inny nie potrafi załatwić, ani też dotrzeć do ludzi, od których niby to jesteśmy zależni. Na nasze argumenty Zdzisio odpowiada:

– Ja nie chcę, żeby ona przez swoje kręcenie się sprowadziła nam Gestapo na łeb.

Odpowiadamy mu, że nam jeszcze bardziej niż jemu zależy, aby tego uniknąć, przeto będziemy ze wszystkich sił starali się wycieczki te ograniczyć do minimum. Na tym na razie stanęło. Jutro więc rano Marysia znowu pójdzie na Żoliborz. Postanawiam, że za kilka dni przyprowadzi Leosię, a w tydzień potem Hoffera. Razem ich przeprowadzać przez całe miasto i przeszmuglować na górę do mieszkania jest zbyt niebezpiecznie. Ryzyko zbyt wielkie, nie wolno przeszarżować.

Rano Zdzisio zszedł na dwór, by się przekonać, czy na ulicy spokojnie. Po kilkunastu minutach powrócił, wypuścił Marysię frontowym wyjściem i sam osobiście ją eskortował aż za róg najbliższej ulicy.

Od samego początku toczymy ze Zdzisiem małą zimną wojnę psychologiczną. W żaden sposób nie chcemy dać poznać, że jest on dla nas ostatnią deską ratunku. Gramy rolę ważnych, jakbyśmy co najmniej byli rozrywani przez wielu znajomych w mieście. Naprowadzamy na rozmowy, z których wynika, że możemy być gdzieś na Żoliborzu, Targówku czy na Woli. Wszystko po to, aby wywołać wrażenie, że nie jesteśmy tak bardzo osamotnieni, bezradni i może też po to, aby uzyskać ludzkie traktowanie. Aby już od początku nie popaść w niewolę moralną i szykany, jakich przed kilkoma miesiącami zakosztowaliśmy u Błażyńskiego. Pragniemy się uchronić przed tym, aby całkowita nasza zależność nie przewróciła Zdzisiowi w głowie.

Marysia wróciła jeszcze tego samego wieczoru. Od razu spostrzegamy, że coś nie jest w porządku. Jest zupełnie roztrzęsiona, przygnębiona i niemal załamana psychicznie. Wystraszyliśmy się.

– Na Żoliborzu wszystko w porządku – uspokoiła nas.

Na zapytanie Zdzisia, co postanowili ci ludzie, którzy mieli jeszcze do nas dołączyć, oświadcza mu, że już znaleźli inne miejsce i na razie zrezygnowali z przyjścia tu. Dopiero gdy położyliśmy się spać i za Zdzisiem i Haliną zamknęły się drzwi ich pokoju, Marysia opowiada, co się stało z Brombergami.

Cichocki, tak jak przyrzekł, poszedł do dozorcy na Grzybowską zapytać, czy ten nie może ułatwić mu rozmowy z Brombergiem. Dozorca popatrzył na niego w pierwszej chwili dziwnie i następnie po dłuższym zastanowieniu się zimno i odpychająco oświadczył prosto z mostu:

– Już ich nie ma, przed kilku dniami zabrała ich wszystkich granatowa policja, na pewno na Szucha. A pana – pyta się – co to obchodzi? Zna ich pan?

– Nie, po prostu chciałem porozmawiać z blacharzem, aby odebrać od niego należne pieniądze za daną mu kiedyś żywność. Cichocki zdołał zręcznie zwekslować rozmowę na właściwy tor.

– No, to już pan od nich nie odbierzesz swoich pieniędzy. Już ich pan odnajdziesz jako mydło na półce u Majdego.

Cichocki coś tam jeszcze przyświadczył i postarał się jak najszybciej ulotnić.

– Szczęśliwy byłem – powiada – gdy się znalazłem daleko od Grzybowskiej.

– A Jóźka Zalewskiego nie widuje pan w warsztacie? – zapytuje Hofler.

– Nie – odpowiada Cichocki. – Dziwne to jest, nikt nie wie, gdzie się podział, już kilka dni nie przychodzi do pracy.

Tej nocy nikt z nas oka nie zmrużył. Marysia tłumi łzy. W nasze pełne nadziei serca znowu wkradł się smutek i zwątpienie.

Swoją jednak drogą, gdy tak głębiej się zastanawiamy nad całą sprawą, dochodzimy do wniosku, że coś tu jest nie w porządku. Brombergów już nikt nie uratuje, ale rachunek się nie zgadza. Zwykle w takiej akcji uczestniczy żandarmeria niemiecka, Gestapo, wyposażeni w budy, we wszystkie akcesoria, z całym trzaskiem. Ale tu, tak sobie, ot, po prostu granatowa policja ich wygarnęła. Ci przecież samorzutnie tak poważnych akcji się nie imają. Pojedynczą osobę przyłapać na ulicy, być pomocnym Niemcom w akcji, i owszem, ale z własnej inicjatywy porwać się na większą rozróbkę? Nie chce nam się w to wierzyć. Sprawa nie jest czysta. Śmierdzi jakimś większym świństwem.

W kilka miesięcy po tych wydarzeniach, gdy tragedia na Grzybowskiej już dawno poszła w zapomnienie, Józiek powrócił do pracy w warsztatach Kozikowskiego. Cichocki wtedy przy okazji zagadnął go na ten temat. Józiek dał mu do zrozumienia, że gospodarz domu wraz z dozorcą za wszelką cenę chcieli się pozbyć niewygodnych i opuszczonych lokatorów Żydów. Oni ukartowali to świństwo. Zależało im jak na własnym życiu, aby nie wejść w osobisty kontakt z Niemcami. Zaaranżowali przeto całą tę aferę do spółki z dzielnicowym, z którym byli w komitywie. Wydaje nam się teraz, że to logiczne rozwiązanie dręczącej nas zagadki nie mija się z prawdą.

Nieszczęście Brombergów wprowadziło też trochę zamieszania w nasze plany. Zbaczamy nieco z nakreślonego sobie na najbliższy czas porządku. Jakby otrzeźwiającym, potężnym ciosem między oczy zostaliśmy wyrwani z błogostanu, w jaki w ostatnich dniach popadliśmy. Ich nieszczęście otrzeźwiło nas i przywróciło do wcale niewesołej rzeczywistości.

Całkowite przenosiny z Żoliborza ulegną na razie pewnej zwłoce. Dopiero za tydzień sprowadzimy Leosię. Tęskni ona bardzo za mną i Marysią, niech więc tu będzie razem z nami. Hofler natomiast pozostanie u Stasia jeszcze dłużej, co najmniej przez miesiąc. Tłumaczy się to częściowo tym, że Stasiowi bardzo zależy, by Hoffer jeszcze u niego pobył. Niemal jest rozgoryczony, gdy słyszy, że ma go już opuścić. Nie chcemy za nic pozostawić po sobie na Żoliborzu złego wspomnienia i nie zatrzasnąć za sobą furtki. Nadszarpnie nam to znowu trochę kieszeń, ale trzeba się z tym jednak pogodzić. Hoffer też jest tego samego zdania.

(...)

Nawet Zdzisiowi, który jest takim sobie warszawskim niedowiarkiem i sam twierdzi o sobie: „ja jestem Pan Bóg, ja jestem mądrzejszy niż sam Chrystus", nawet jemu, Zdzisiowi, modlitwa Żyda, który u niego, Zdzisia, szuka schronienia i u niego jest na łasce – imponuje. Przypomniał sobie, że stara matka jeszcze dzisiaj w Nasielsku chodzi do kościoła codziennie i modli się. Szczyci się, że ma wierzącą i przyzwoitą matkę. Nawet Halina, która w przeciwieństwie do Zdzisia jest wierząca, ale wiarą zabobonu, ciemnoty i prymitywu, ciągle straszy swego męża:

– Zobaczysz, cholero, że za twoją mordę, za twoje szczekanie, za to, że tak bluźnisz, jęzor ci kołkiem w gębie stanie.

Cała natomiast reszta jej wiary i wiedza o niej sprowadza się do powinności całowania księdza w rękę (czym Zdzisio, wypominając jej tę przyjemność, najbardziej doprowadza ją do furii), różnych cudów, płaczących i śmiejących się obrazów, krwawiących posągów itp. Nawet ona nie ma do Hoffera tyle śmiałości, co do nas i nie wchodzi z nim nigdy w szerszą gadkę. Bardziej go respektuje niż każdego z nas.

Już teraz przewidujemy, że z Haliną nie będziemy mieli łatwego życia, że nam jeszcze przysporzy kłopotów. Cała jej osobowość, wszystkie cechy charakteru przy bliższym poznaniu nawet optymistę nastroją minorowo. Obydwoje małżonków cechuje prawie jednaki brak elementarnej wiedzy. Całą swoją filozofię życiową czerpali obydwoje od dziecka na ulicy, nigdy w ramach zasad i przyzwoitości, lecz zawsze z zewnątrz, poza nawiasem. A jednak Zdzisio przewyższa swoją małżonkę o całe niebo. Trafnie dałoby się porównać jego do orła, ją zaś tylko do sroki.

Częste niepowodzenia w życiu, ciągła walka, w której zawsze był zwierzyną, nauczyły Zdzisia rezygnować, wpędziły go w abnegację. Na jarmarkach, na bazarach warszawskich, pod ławkami i na dachach wagonów przyswoił on sobie pewne zasady, których według jego pojęcia należy się trzymać. Uczynił z nich swój kodeks życiowy, Mimo cwaniackiego sposobu wysławiania się, ma Zdzisio swoistą inteligencję, pewną nawet dozę dowcipu i humoru, szczególnie wtedy możemy się o tym przekonać, gdy droczy się z Haliną. Jest on od niej bardziej nieśmiały, mniej nachalny, mniej opryskliwy i przyzwoitszy w stosunku do nas. Tak jakby nie zapomniał jeszcze, jak czuje się człowiek ścigany.

Halina przeciwnie, jest zupełnym tłumokiem, jakby z zewnątrz pokrytym jaskrawą szmatką, od środka natomiast przedstawia sobą na wskroś przegniłe jabłko. Żadnej w niej przyzwoitości, żadnych zasad, żadnych wartości duchowych. Pod złocistą falą włosów i niskim czołem kryje się ptasi móżdżek. Ciemno w nim, promień światła nie przenika, niskie myśli się kłębią i rodzą tylko niskie uczynki. Ani śladu inteligencji, dowcipu, humoru. Nie zna się na tym. Nie potrafi odróżnić drwiny, nawet ciężkiego kalibru, od prawdy. Już chyba w kolebce wraz z mlekiem matki wchłonęła wszystkie możliwe złe skłonności.

Wychowały ją także ulice, ale to nie ulice Warszawy, pełne cwaniactwa, fantazji, ulice, które jednak cechowała pewna wyższa forma życia, życia wielkiego miasta. Ulice Warszawy nawet swym córom Koryntu udzieliły pewnej ogłady, wyrafinowania, finezji, elegancji. Halina jest tylko produktem ciemnych uliczek małej dziury prowincjonalnej. Zamiast światła różnobarwnych neonów jej tylko w najlepszym wypadku przyświecał blady księżyc. Nierzadko cisza cmentarna była tłem jej romantycznych przygód. Nic też dziwnego, że jest taka, jaka jest, a jest wulgarna aż do obrzydzenia.

Niewyczerpany zasób brudnych wyzwisk i przekleństw, ale bez polotu, bez żadnego szlifu, sypie się na głowę Zdzisia w chwilach coraz częstszych sprzeczek małżeńskich, Naczelną zasadą Haliny jest, czy potrzeba, czy nie – kłamstwo. W każdej

okoliczności i wypadku lepiej skłamać niż powiedzieć prawdę. Oszukać, gdzie się da, i na czym się da. Ani jej sposób jedzenia, ani ubierania się nie, pozwalają dostrzec nawet cienia ogłady, której choćby i w Nasielsku można było uszczknąć. Nie można się doszukać ani szczypty tkliwości, kobiecej delikatności, pewnej dozy wstydliwości, specyficznego fluidu, którego żadna dziewczyna, mająca swój posterunek w bramie przy Chmielnej, nie jest pozbawiona. Halina potrafi przez cały boży dzień na oczach nas wszystkich, obcych zupełnie ludzi, paradować w mieszkaniu w płóciennych, długich i nie pierwszej czystości majtkach. Słowem – ścierka. Może tym niewymyślnym negliżem chciałaby Zdzisia prowokować i wabić. Swoisty striptease. Czasem jednak odnosi to wręcz odwrotny skutek. Jednego razu mianowicie Zdzisio nie docenił po prostu wysiłków swej małżonki i jakby wylał jej zimny kubeł wody na łeb.

– Byś, kurwo – mówi – ubrała się, a nie jak ta ćma szwendała się przez cały dzień rozmemłana po mieszkaniu.

– A co – nie pozostaje dłużna Halina – już moja dupa ci się nie podoba, idź, taki synu, i poszukaj sobie innej. Ja nie uschnę za tobą. Widzicie go, jaki pan, inteligent się zrobił. W Nasielsku też taki mądry byłeś? Mama cię tak wyszkoliła. Jak ci się nie podobam, nie trzeba było mnie brać. Nie umarłabym starą panną.

Zdzisio tylko mimochodem zauważa, że wtedy, kiedy ją brał, już panną nie była i zaraz potem, aby już przeciąć dyskusję:

– Zamknij się, kurwo, bo jak strzelę w pysk, to się własnymi zębami udławisz.

Widać groźba poskutkowała, ponieważ Halina wycofała się mrucząc, w dalsze rejony, do odległej kuchni. Chwilowo spokój. To tylko takie sobie towarzyskie rozmówki.

Śpimy na gołej podłodze, na twardych deskach. Rano, gdy wstajemy, nie można kości rozprostować, wszystkie gnaty bolą. Jesteśmy dosłownie bosi, nadzy i obdarci. Nie posiadamy żadnej bielizny, ani osobistej, ani innej. U Stasia znaleźliśmy, czy też dostaliśmy od niego dwie czy trzy używane koszule i dwa ręczniki. Stanowi to prawie cały zasób naszej odzieży. Jesteśmy tak ubodzy, jak nigdy jeszcze w życiu. Resztki, które zdołaliśmy ocalić z getta, przepadły na Grzybowskiej. Brak pościeli, przykrycia, szczególnie dotkliwie dają nam się we znaki. Nieraz w chłodniejszą noc tulimy się do siebie jak zmarzłe szczenięta, pragnące się ogrzać własnym ciepłem. Z rzeczy złożonych przez mego ojca w piwnicy warsztatów u Kozikowskich (wiem, że zostały tam jeszcze worki z pościelą) już nic nie odzyskałem. Liczyłem na otrzymanie pościeli i nigdy nie przypuszczałem, że mi nie zwrócą, gdy zażądam. Kozikowscy to niezwykle bogaci ludzie, nigdy nie łasili się na tak małe, mizerne kąski. Nigdy bym też nie pomyślał, że tak ordynarnie się zachowają, jak w tym wypadku. Całe ich przecież bogactwo wyrosło z getta i myśmy przecież przez lata pracowali dla nich bez wynagrodzenia. W innych okolicznościach i innym czasie niewiele by nas obeszła utrata kilku poduszek i kołder, ale teraz, gdy jesteśmy tak biedni, tak bezradni, tak opuszczeni, bandycka postawa Stanisława Kozikowskiego była dla nas niespodziewanym wstrząsem i ciosem, po którym przez długi czas nie mogliśmy się otrząsnąć. Uprosiliśmy wreszcie Cichockiego, po niezwykłym z jego strony

oporze, aby zwrócił się w moim imieniu do Stanisława i prosił go o wydanie pościeli. Cichocki zgodnie z prawdą opowiedział Kozikowskiemu, że leżymy i śpimy na gołych deskach, marznąc po nocach, nie dojadając i nie mając czym się przykryć. Ten w odpowiedzi niezwykle po chamsku zrugał Cichockiego

– Co, życie już panu niemiłe? – zapytał. – Szukasz pan koniecznie guza? Jeszcze mało mieliśmy Żydów? Niech pan lepiej pilnuje swoich spraw i swojej głowy i żeby pan więcej z takimi interesami do mnie nie przychodził.

Cichocki jak zmyty poszedł.

– Za żadne pieniądze – mówi – nie chcę mieć już z tym łobuzem nic wspólnego.

Na kupno najtańszych nawet przedmiotów nie możemy sobie teraz w żadnym wypadku pozwolić. Przede wszystkim wszystko jest dzisiaj szalenie drogie. Getto już dawno się skończyło, a było ono niewyczerpaną składnicą, skąd artykuły przemysłowe strumieniem płynęły na aryjską stronę. Teraz na przykład w odzież czy pościel można się tylko zaopatrzyć na bazarach, i to po paskarskich cenach. Każdy grosz, który posiadamy, jest konieczny do opłacenia naszych gospodarzy i do kupienia bochenka czarnego chleba i kilku kartofli, aby dzień przeżyć. Komuż by przeto na myśl wpadło, aby w tych warunkach trwonić ostatnie, krwawo uratowane dotychczas grosze na kołdry albo inne łachy?

We wrześniu podejmujemy znowu wielką akcję podreperowania naszych kruchych finansów i uzyskania pościeli. Wysiłek włożony w tę imprezę przyniósł bardzo mizerne rezultaty. Teściowi memu niejacy Latoszewscy – chrześcijanie w Warszawie – byli winni pokaźną sumę pieniędzy. W swoim czasie teść pomógł im w kupnie sklepu przy Próżnej i zaopatrzył go częściowo w towar. Sklep ten teraz doskonale prosperuje, a Latoszewscy stali się zamożnymi ludźmi. Marysia przypomniała sobie o długu ciążącym jeszcze do dzisiaj na Latoszewskich. Postanowiła przeto udać się do nich i przekonać się, czy można coś wydostać. Hoffer też wyszperał w pamięci kilka adresów ludzi, którzy bądź to byli mu jeszcze z dawnych czasów winni pieniądze, bądź też po prostu można ich prosić o pomoc. Skierował Marysię do pewnego gościa, podobno volksdeutscha, pracownika w Zakładach Wedla, po odbiór niewielkiego długu, ale dla nas mającego istotne znaczenie. Następnie do pewnej znajomej, z którą kiedyś był w bardzo bliskich i przyjacielskich stosunkach, niejakiej Szulcowej. Pani ta po wkroczeniu Niemców także przyjęła volkslistę. Jest ona teraz bardzo zamożna i prowadzi nadal w Warszawie przy Brackiej dobrze prosperujący sklep delikatesowy.

(…)

Robota przy stawianiu pieca na razie utknęła w miejscu. Już koniec września, a piec jeszcze w powijakach. Niesporo to idzie Zdzisiowi. Wyraźnie go też leń ogarnął. Medytuje, zakłada kafle, mierzy, waży, czyści i znowu rozbiera. Widocznie niezadowolony. Nie może złapać szwungu. Skrytka nie wykończona, utknęliśmy w pół drogi. Martwi nas to.

Dzień Zdzisia mniej więcej wygląda tak: Do godziny dwunastej wyleguje się z Haliną w łóżku. Potem Halina wstaje. Na wpół ubrana i nie umyta krząta się w kuchni, szykuje sobie coś do jedzenia.

Następnie Zdzisio wygrzebuje się z gniazda i udaje się na dłuższe, godzinne posiedzenie do ubikacji i pali tam papierosy, jednego za drugim. Po tej wizycie skromnie zwilża twarz i przemywa oczy. Teraz wciąga do połowy swój kombinezon i w porannych człapakach zasiada do śniadania, które tymczasem Halina zdążyła już dla niego przygotować. Podczas śniadania małżonkowie się przekomarzają. Zdzisio marudzi trochę. A to, że mu nie smakuje jedzenie, a to że chleb nie taki jak potrzeba i wreszcie, że Halina nie umie tak dobrze gotować jak jego matka. Halinę już rusza nerw. Odsyła go na wikt do mamy.

– Idź – mówi – raz wreszcie, skurwysynu, do swojej mamusi, niech ona cię karmi, a mnie daj święty spokój.

Zdzisio jednak nie jest usposobiony agresywnie, tylko się uśmiecha i replikuje.

– Jak ci, cholero, prawdę powiem, to zaraz z mordą wyjeżdżasz.

I tak śniadanie spokojnie dobiega końca. Niekiedy też Zdzisio dokonuje osobistej toalety. Polega to na tym, że obcina sobie przez godzinę paznokcie u rąk i nóg, następnie siada na jednym stołku, a na drugim. rozpościera gazetę i – nachylony nad nią – wyczesuje włosy. A jednak nie tylko Żydzi, jak głosi osławiony „Stuermer", cieszą się wyłączną miłością robactwa i pasożytów. Nie tylko wybiedzeni Żydzi, poniewierający się w norach, pozbawieni ludzkich form bytowania, stanowią pożywkę dla kolonii insektów. Zdzisio jeździ po głowie gęstym, dwustronnym grzebykiem i za każdym posuwem sypie się grad wszy na rozłożoną gazetę. Niby z dojrzałego kłosa ziarno, sypią mu się z głowy na papier wszy jak grochy. Po operacji ujmuje ostrożnie gazetę, niesie ją na balkon i wytrząsa zawartość na dół, na podwórze. Halina radzi mu, aby natarł głowę naftą, a na pewno mu pomoże. Wydaje nam się jednak, że i jej ta kuracja by się bardzo przydała. Bez przerwy bowiem zawzięcie przebiera palcami po swej złocistej kaskadzie włosów. Głowy małżonków spoczywają na jednej poduszce i myślę, że przydałaby się tu przyzwoita odwszalnia.

W przeciwieństwie do nich myśmy się zupełnie pozbyli tej plagi. Sprawiła to woda i duże ilości mydła. Wystarczyły trochę lepsze warunki mieszkaniowe i częste dokładne mycie się. Po krótkim już czasie nie możemy doszukać się ani w ubraniu, ani też na sobie śladu tego robactwa.

Około czwartej po południu Zdzisio wreszcie zabiera się do pracy. W pokoju jeszcze bałagan, pełno kafli i innych rupieci. Halina z tego powodu przygaduje:

– Z ciebie taki zdun jak z koziej dupy trąba. Zdzisio nie może strawić zniewagi.

– Nie twoja głupia głowa do tego – mówi. – Zobaczysz, jak ja postawię piec, żaden inżynier jeszcze takiego nie zbudował.

Raźniej zabrał się do wiązania kafli. Wypełnia je wewnątrz zaprawą cementową, między ich rzędy wtyka grube druty. Buduje tak dokładnie, jak sobie uplanował. Osadza drzwiczki żeliwne na dole, pod nimi ruszt, wyżej większe drzwiczki do paleniska. Nad paleniskiem gruba warstwa betonu. I wyżej już, aż do końca, mocno zabetonowane dokoła kafle, a wewnątrz pusto.

Dopiero przy końcu października możemy podziwiać wspaniałe dzieło techniki zduńskiej. Z wierzchu nasz piec niczym się nie różni od tysięcy pieców w mieszkaniach warszawskich, wzniesionych przez fachowych rzemieślników. Samo wejście

u góry pozostało jeszcze otwarte. Należy zamontować klapę, którą Zdzisio dopiero skonstruuje. Dookoła pieca, na podłodze, przybija listwy do desek, podobnie jak w pokoju przy ścianach.

Wejście do skrytki już zupełnie przysłonięte. Piec schnie. Tymczasem Zdzisio projektuje klapę. Wreszcie można pokój uprzątnąć. Powoli zbliżamy się do celu, mimo że pracy jeszcze pozostało wiele. Czas już też najwyższy zabrać się do malowania ścian. Surowy mur demaskuje na razie cały włożony trud. Jak dobrze pójdzie, to przy obecnym tempie do Bożego Narodzenia Zdzisio powinien się uporać z wykończeniem robót w naszym pokoju. Już teraz planuje malowanie pierwszego pokoju. Nie widzimy w tym pilnej potrzeby, ale dalecy jesteśmy od tego, aby oponować. Bezcelowe jest przedwczesne dyskutowanie na ten temat. Dosyć zmartwień przynosi z sobą każdy dzień. Zdzisio już myszkuje po bazarach za różnymi pędzlami do malowania, szablonami na desenie i innymi rupami. Wszystkie te zakupy porządnie nas biją po kieszeni. Ale cóż poradzić, jedyne co pozostaje, to jeszcze mocniej zacisnąć pasa. I ograniczyć jeszcze bardziej wydatki na nasze wyżywienie. Pieniądze wymieniane każdorazowo za pośrednictwem Cichockiego starczają na coraz krótszy okres. Przerażenie nas ogarnia na myśl, co będzie dalej. A tu końca wcale nie widać.

Jedyną naszą rozrywką jest gazeta, którą Halina, gdy jest w dobrym humorze i nastroju, kupuje dla nas. W okolicy istnieje też wypożyczalnia książek. W pierwszym okresie Halina dowiedziała się o jej adres i kilka razy przyniosła nam książki. Nie potrafi ona jednak ani wybrać sama, ani też zażądać ich, nie zwracając uwagi, że nie wyznaje się absolutnie w tej dziedzinie i nigdy w rękach książki nie miała ani nie czytała. Musieliśmy przeto z żalem z tej przyjemności zrezygnować. Marną namiastką są dla nas damka i domino, które Marysia kupiła, będąc na mieście. Najczęściej trenują w tym sporcie HofIer ze Stasiem, często i Marysia bierze udział w grze. Przeważnie jednak się nudzimy i martwimy naszym dalszym losem.

Zdzisio marudzi nad konstrukcją klapy do pieca i wszystkie rozwiązania, jakie wykombinuje, nie znajdują jego uznania. W połowie listopada zagruntował surową ścianę i dopiero po wyschnięciu nałoży na nią kolor. Piec pomału też wysycha. W fałszywe palenisko nawrzucaliśmy sporo resztek spalonych kawałków drewna, węgla i popiołu. Na dole pod palenisko, do popielnika, nasypaliśmy pełno popiołu. W połowie listopada skonkretyzował się nareszcie sposób założenia klapy. Zdzisio wpadł na nowy pomysł. Klapa będzie ruchoma, niezależna od reszty pieca, położona na ramie drewnianej, wmontowanej w piec, przesuwana po dwu szynach żelaznych, umocowanych po bokach na ramie. Ważne, że klapę tę można zasunąć i otworzyć wewnątrz pieca bez żadnej pomocy z zewnątrz. Stwierdzamy przy tym jeszcze raz, że Zdzisio jest naprawdę niezwykle zdolny i gdyby dane mu było się kształcić, mógłby niechybnie zostać dobrym konstruktorem. Całe dni trwają próby z otwieraniem i zamykaniem wejścia do pieca. Konstrukcja działa bez zarzutu, jak dobrze naoliwiony mechanizm. Gdy piec jest z góry zamknięty, nawet stojąc na stołku, nie można dostrzec nic podejrzanego.

Nareszcie skrytka jest ukończona. Uczciliśmy to wydarzenie skromną libacją. Nie skąpimy pochwał i słów uznania. Zdzisio jest zadowolony i dumny ze swego dzieła.

– A mówiłem wam, że u mnie Baśka pracuje. Zdzisiek już nie na takie roboty się porywał. Poczekajta, niech ja tylko skończę wszystko, zobaczycie, jak tu będzie wyglądało.

Malowanie zaczyna się już na początku grudnia. Tymczasem przeżyliśmy czarny dzień i już przekonani byliśmy, że po nas. Strach nas tak sparaliżował, że zupełnie wtedy zgłupieliśmy. A wszystko poszło o włos. O jasnoblond włos Haliny w talerzu zupy Zdzisia.

Pewnego przedwieczora listopadowego małżeństwo siedziało sobie w najlepsze przy obiedzie. Stołu jeszcze nie ma. Talerze są więc rozstawione na taborecie. Halina już swój talerz opróżniła. Zdzisio wolno, łyżka za łyżką, delektuje się szczawiową zupą z pęczakiem. Jest to jego ulubiona potrawa. Taką samą zawsze jadał u mamy. Nagle mu oczy stanęły w słup i jakby za chwilę miał ducha wyzionąć. Halina zaniemówiła, a przecież tylko co trajkotała bez przerwy. Zdzisio wolno ciągnie z ust długi, jasny włos, niewątpliwie włos Haliny. I nagle, bez żadnego uprzedzenia, bez słowa, ryms w nią talerzem i resztą zupy. Halina momentalnie w krzyk i za stołek. Zdzisio zacisnął zęby i do niej .

– Mówiłem, tłumaczyłem ci, kurwo, żebyś obwiązywała kudły, jak dochodzisz do garnka. Cały dzień chodzisz jak ślaja, rozczochrana, i pakujesz mi twoje kudły do jedzenia. Chcesz, cholero, mnie udławić twoimi kłakami.

Halina wrzeszczy:

– Żebyś już raz się udławił, ty chamie, idź do swojej matki, kurwy, niech ci daje żryć.

Zamierzyła się na niego stołkiem.

W tym momencie Zdzisio bęc ją w mordę i rzucił nią z jednego końca pokoju aż na ścianę drugiego. Halina w jeszcze większy wrzask:

– Żeby cię, cholero, raz Gestapo już wykończyło, czekaj, ja ci się przysłużę.

Gdy Zdzisio to usłyszał, zupełnie zdziczał.

– Co, ty kurwo nasielska, ty mnie oddasz do Gestapo, do Niemców? – i jeszcze jej przyłożył dobrze kilka razy.

W tym momencie Marysia spróbowała się wmieszać i obronić Halinę i właśnie od niej oberwała dobrze po głowie. Krzyki rozchodzą się po całym domu. Halina jeszcze raz wyjechała do Zdzisia z Gestapo, a ten ją przydusił w kącie i solidnie okładał po mordzie. Wtem Halina zdołała się Zdzisiowi wyrwać, biegnie do drzwi wyjściowych i na balkon. Stąd wrzeszczy na całe podwórze:

– Policja, ratunku, morduje mnie, zabije!

Myśmy zupełnie zgłupieli. To już koniec z nami. Zdzisio wybiegł na balkon, chwycił ją za włosy i ciągnie do mieszkania.

– Jak, kurwo, natychmiast nie ucichniesz, zabiję jak psa, porżnę na kawałki, ścierwo, i spuszczę do klozetu.

Nikt jakoś z dołu nie kwapi się Halinie z pomocą. Warszawiacy niechętnie na ogół interweniują w małżeńskich nieporozumieniach. Groźba Zdzisia, że jeszcze

lepiej Halinę urządzi i gnaty poprzetrąca, poskutkowała. Cisnął ją w kąt jak tłumok. Halina pochlipuje, ale już znacznie ciszej i nie odgraża się. Marysia stara się uspokoić ją i doprowadzić do porządku jej odzież, podartą podczas szamotania się, ale Halina jest nadal wściekła, odtrąciła Marysię z furią, że ta się przewróciła. Halina jeszcze nie ochłonęła. Zdzisio mówi:

– Niech pani ją zostawi. Na drugi raz niech wie, co ją czeka. Niech ona mi tu jeszcze raz wyjedzie z Gestapo.

Pomału namiętności ostygły, wszystko ucichło, awantura wygasła. Zdzisio siedzi w kącie i duma. Halina w kuchni obmywa twarz. Po dwóch godzinach małżeństwo poszło do wspólnego łoża spać. Myśmy tylko o mały włos nie postradali życia. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, a nawet awantura nam się przysłużyła i miała swoją dobrą stronę. Któż by teraz bowiem z mieszkańców domu mógł przypuścić, że w mieszkaniu tym ukrywają się Żydzi? Awersja Zdzisia do włosów w jedzeniu kosztowała nas jednak wiele zdrowia i napędziła strachu co niemiara.

Obserwujemy jednak ostatnio, w miarę jak poprawiła się sytuacja materialna Krzyczkowskich wzrost kłótliwości i niezgody, między nimi. Niemniej niedawna wielka awantura na tle nieprzestrzegania przez Halinę higieny w czasie czynności kulinarnych, nie przeszkadza, że już w kilka dni później obydwoje w najlepszej komitywie spożywają wspólnie dary boże, pogrążeni w poważnej dyskusji, jak powinna być przyrządzona wieczerza wigilijna.

Od pewnego czasu istotny ten problem zaprząta poważnie umysły naszego stadła. Przygotowują się do tej wieczerzy z całą starannością. Zdzisio oczywiście koniecznie chce, aby wszystko się odbyło jak u jego mamy. Halina pragnie natomiast na obrządku wycisnąć swoje indywidualne wartości duchowe i swoją wiedzę w tej dziedzinie. Dyskusja jest zawzięta, niezwykle ciekawa i pouczająca. Zdzisio utrzymuje dogmatycznie i nie chce ustąpić Halinie na krok, że w prawdziwej wieczerzy wigilijnej obowiązuje 13 dań postnych. Jeżeli liczba tych potraw zostanie, naruszona cała wieczerza traci swą moc.

– Ale gdzie tam ty potrafisz tak wszystko ugotować, żeby było naprawdę jak na wigilię? – I tu zaczyna wyliczać obrzędowe maltyki: ryby smażone na oleju, jakie i jak podane. Kluski z makiem, pierogi z makiem, pierogi z kapustą, pierogi z grzybami, grzyby z kluskami i coś tam jeszcze. Mięsa, broń Boże, nie wolno, gdyby mięso tknęło tych uświęconych rytuałami dań, wszystko by się strefiło. Halinie od tych kombinacji klusek, pierogów, grzybów i maku, jak też i surowych przepisów zakonu zakręciło się w głowie. Strach ją obleciał, nie czuje się na siłach podołać.

– Coś ty, wariacie, po co ci tyle maltyków? Zrobię nie takie pierogi i kluski jak twoja matka, ale gdzie ty to wszystko zjesz? Zobaczysz, że od tych słodkich klusek i pierogów porzygasz się.

Dyskusja toczy się w przyjaznym tonie. My w niej udziału nie bierzemy, jednak przysłuchujemy się z zainteresowaniem uczonym wywodom. Do świąt jeszcze kilka tygodni, do tego czasu liczba i jakość maltyków ulegnie z pewnością korekcie.

(…)

Nawiedziły nas w wielkiej ilości pchły. Tną one jak wściekłe całe ciało i z największym upodobaniem czynią to nocą, dokuczają i nie dają spać. Żerują na nas w najlepsze i nic nie pomaga, że zabijamy je tuzinami, masowo. Rano, gdy się budzimy, jesteśmy na całym ciele upstrzeni czerwonymi plamkami. Niektóre pchły są tak opite naszą krwią, że wyglądem przypominają małe czarne pestki. Skaczą one na duże odległości jak wystrzelone z katapulty. Złapiesz taką w garść i pewny jesteś, że trzymasz ją mocno, że ją masz i zadusiłeś. Otwierasz garść, a pchła błyskawicznym, potężnym susem wypryskuje koło nosa w powietrze, siada kilka kroków dalej i drwi z twojej niezdarności. Najulubieńszymi kwaterami pcheł są szwy na pikowanej kołdrze i fałdy w szlafroku. Codziennie rano przeglądamy kołdrę i polujemy na nasze prześladowczynie. W szwach, gdzie nitka przetyka i ściska materiał, dostrzegamy liczne czarne punkty, rozsiane na czerwonym materiale. To nasze figlarne pchły wbiły się niby pociski w załamania i tylko kuperki im wystają. Najzręczniej, najzawzięciej i z najlepszym rezultatem poluje na nie Hoffer. Nie możemy dojść, jak ta plaga się do nas przywlokła. Mamy jednak w niemałym podejrzeniu podarowaną kołdrę. Mimo udręki, jaką nam sprawiają, wolimy pchły tysiąc razy niż wszy, które nas zjadały na Grzybowskiej. Pchły wydają mi się jakoś bardziej sympatyczne. Już z dwojga złego wolę skaczącą radośnie pchłę niż pełzającą wesz. Aby wyczerpać nasze perypetie z pchłami, muszę jeszcze dodać, że zmyślne te insekty są niezwykle wytrzymałe i żywotne. Podjęliśmy kiedyś próbę radykalnego pozbycia się ich. Przekształciliśmy jednego dnia skrytkę w prawdziwą gazownię. Włożyliśmy do środka zapchloną kołdrę, szlafrok i większość naszej odzieży. Zapaliliśmy na kilka godzin kupione uprzednio w tym celu świece siarkowe. Klapę od pieca zamknęliśmy, tak że do wewnątrz prawie nie było dopływu powietrza. Byliśmy przekonani, że wszystko, co żywe, powinno się wytruć, wydusić. Po kilku godzinach otworzyłem klapę. Odczekałem, aż gaz się ulotnił i następnie sam wszedłem do wnętrza. Wyrzuciłem na zewnątrz wydezynfekowane łachy, przy czym o mało sam się nie zagazowałem i nie straciłem przytomności. Cały wysiłek zdał się jednak psu na budę. Następnego dnia rano byliśmy znowu pokąsani, a czarne kuperki pcheł, powtykane w szwy kołdry, drwiły z naszych sadystycznych zamiarów.

Zakończenie remontu w mieszkaniu to jakby okres zwrotny. Niemal namacalnie odczuwamy, że zakończył się jeden etap i nadszedł trudniejszy i gorszy niż poprzedni. Nie tyle zmienił się stosunek Zdzisia do nas, ile wymagania jego wzrosły tak, że groziły wprost katastrofą. Najgorsze, że nie wie, czego chce i co ma z sobą począć. Ni stąd, ni zowąd strzela mu do głowy pomysł. Nieważne, że nierealny w obecnych warunkach, kolidujący z obowiązkiem, który wziął na siebie, przechowując nas. Wyskoki jego nie mogą dać żadnego pożytku, jedynie kłopoty i marnotrawstwo pieniędzy. Ale od czego trzyma Żydów? Żydzi ci muszą tak zatańczyć, jak przyjdzie mu do głowy zagrać, zapłacić za to, co mu się przez noc zechce. Nie wystarczy już dzisiaj Zdzisiowi, że ma co jeść, i to dobrze, że nie głoduje jak przedtem. Nic już to, że nie musi się kłopotać, skąd jutro weźmie na wykupienie kartkowego chleba. To, że się teraz utrzymuje z nas, nie ma żadnego znaczenia. Żydzi dotychczas płacili za remontowanie mieszkania. Naraz te wydatki się skończyły. Muszą jednak dalej

płacić. Za co, to się okaże, powód się wynajdzie. Żydzi muszą płacić za swe życie. Dobrze zapłacić za każdy przemordowany dzień. Inaczej zostanie im zamieniony w piekło. I w końcu czeka ich jedynie ulica.

Na razie Zdzisio poczyna sobie jeszcze niezbyt ostro. Ale już sens jest widoczny. Od dłuższego czasu pierwotna z nim umowa, w myśl której będziemy płacić tygodniowo po pięćset złotych tytułem komornego, stała się wspomnieniem. Z początku Zdzisio jeszcze prosił o zapłacenie mu za dwa tygodnie z góry, potem za miesiąc. Teraz już się mówi o miesiącach. Zawsze jednak wychodzi tak, że Zdzisio otrzyma pieniądze za miesiąc, a już po dziesięciu dniach jest bez grosza. Zaczyna wtedy awanturować się z Haliną, w rzeczy samej mając tylko nas na myśli. Kończy się to wszystko, jak było zamierzone. Trzeba dać znowu za kilka tygodni naprzód. W rezultacie już żaden rachunek nie istnieje. Zapłaciliśmy za taki czas z góry, że gdybyśmy go mieli u Zdzisia przesiedzieć, lepiej już teraz z sobą skończyć. Do sum za mieszkanie dochodzą częste okazje do popicia, aby utrzymać Zdzisia i Halinę w dobrym nastroju. Wreszcie zakupy, które Zdzisio poczynił i zniósł z bazaru w czasie remontu mieszkania. Moglibyśmy za wydatkowane pieniądze kupić trzy takie mieszkania gdybyśmy się swobodnie poruszali. Gdy tylko otrzymamy od Cichockiego kilka tysięcy złotych, znikają one w oczach jak śnieg na wiosnę.

Staramy się uratować choćby małą cząstkę wystarczającą na nasze głodowe wyżywienie. Ale na tym jeszcze nie koniec. Gdyby choć tu apetyty Krzyczkowskich się zatrzymały, byłoby jeszcze stosunkowo nieźle. Do tej pory była mowa tylko o Zdzisiu. Dochodzi jeszcze Halina. I tu dopiero leży pies pogrzebany. U Krzyczkowskich istnieje podział ról. Zdzisio jest gospodarzem, naszym właścicielem panem całego interesu. Halina natomiast – szefem zaopatrzenia: Tu jest wyłącznie jej domena i tu tkwi jej udział w oszukiwaniu wyzyskiwaniu i okradaniu nas. Naszym podstawowym i najważniejszym produktem spożywczym jest czarny chleb kartkowy. Tego trzeba najwięcej. Jest nas pięcioro młodych ludzi. Do chleba kupujemy czasem trochę lichej marmolady buraczanej, sporządzonej na sacharynie, czasem paczkę sztucznego miodu. Dalej idzie ersatzowa esencja w buteleczkach do zabarwienia herbaty i wreszcie pastylki sacharyny. Na cukier nigdy sobie nie pozwalamy, jest za drogi na naszą kieszeń. Nigdy nie pozwoliliśmy sobie tutaj na żadne wędliny, z wyjątkiem zakąsek do popicia z Krzyczkowskimi. Nigdy w tym mieszkaniu nie skosztowaliśmy jaj, masła, sera, mleka i mięsa.

Drugim naszym podstawowym artykułem są kartofle do zupy, do której dodajemy jeszcze niewielkie ilości fasoli, kaszy albo grochu. Tygodniowo zużywamy około pół kilograma słoniny. W początkowym okresie naszego tu pobytu od czasu do czasu smażyliśmy sobie na śniadanie pokrojoną cebulę na oleju. Już dawno z tego luksusu musieliśmy zrezygnować. Często wrzucamy do gotującej się zupy kładzione kluski. Dużym wydatkiem jest zwykłe mydło do prania, ale to dla nas nawet ważniejsze niż pożywienie. Chleba nam idzie sporo. Nie mamy przeto nigdy sumienia najeść go się do woli. Nigdy nie jesteśmy syci. Zawsze na wpół głodni. W lutym 1944 roku już nawet buraczana marmolada i sztuczny miód stały się odległym wspomnieniem. Zamiast tego Stasio pociera teraz kromkę chleba ząbkiem czosnku.

Już dawno zdołaliśmy się przekonać i upewnić, że ilość przyniesionej przez Halinę słoniny czy kartofli nie jest zgodna z tą, za jaką każe sobie zapłacić. Od miesięcy oszukuje nas już bezczelnie i okrada na wadze zakupionych produktów. Nie wolno nam nic mówić ponieważ gotowa ich nam w ogóle nie przynieść. Halina odsprzedaje nam swój wykupiony na kartki chleb, niezależnie od dokupowanego bez kartek (Krzyczkowscy odżywiają się białym chlebem i bułkami). Gdy przyszliśmy do nich, kilogramowy bochenek kartkowego chleba kosztował tylko trzy do trzy i pół złotego. U Haliny cena tego chleba z miesiąca na miesiąc zastraszająco rosła, aż przy końcu naszego pobytu u nich osiągnęła astronomiczną sumę siedemnaście i pół po złotego za kilogram, mimo że – jak się potem przekonaliśmy – w sklepach przez cały prawie czas się nie zmieniła. To samo działo się ze wszystkimi produktami, które dla nas kupowała. Aż do zainstalowania gazu pobierała od nas za opał, przy czym my opłacaliśmy cały zużywany i przez nią węgiel oraz drewno. Zbierały się z tego poważne sumy. Nie dość przeto że okrada nas na, wadze, ale i za każdy nie dostarczony, ale wliczony w rachunek kęs, płacimy kilka razy więcej, niż w rzeczywistości powinniśmy zapłacić.

Nic podobno w naturze nie ginie. I oto podziwiamy Halinę w złotych kolczykach, wpiętych w uszy przekłute jeszcze w dzieciństwie. Halina ostatnio kupiła sobie złotą obrączkę i zaraz potem takiż pierścionek z kamyczkiem. Posiada też ukryte w pończosze – jak się wkrótce przekonamy – kilka tysięcy złotych. Po Nowym Roku zaczęła też dbać o siebie bardziej niż dotychczas. Maluje się i od czasu do czasu chodzi do fryzjera. Nic w tym oczywiście złego. Każda kobieta stara się dobrze i przyjemnie wyglądać. Jednego razu zachciało mi się pożartować z nią.

– Sądziłem – powiadam – że fryzjer inaczej pani ułoży włosy.

– A co pan myślał – usadziła mnie z miejsca – że fryzjer mnie pióro w d... wetknie?

Taka już jest nasza Halina, z nią nie ma żartów. Halina zresztą rzadko jest w humorze, chyba tylko wtedy, gdy chce się przypodobać Zdzisiowi. Na co dzień ma zawsze pomarszczone czoło.

Nie jest też dla nas korzystne, że Krzyczkowskich wcale nie obchodzi polityka. Owszem, są przeświadczeni, że kiedyś tam wojna się skończy i Niemcy ją może i przegrają. W to wierzą. Gdzie toczy się wojna, co się na świecie dzieje, nie bardzo ich obchodzi. Gazety nie czytają. Nie mają absolutnie pojęcia, gdzie znajdują się miejscowości wymienione w komunikatach wojennych. Znajomość geografii to już nie Zdzisia dziedzina, chyba że chodziłoby tylko o okolice Nasielska. Gdyby się choć trochę orientowali na mapie, wiedzieliby, właśnie teraz, w styczniu – lutym, Rosjanie znowu podjęli olbrzymią zimową ofensywę. Zdzisio, gdy mu o tym czytamy w „Nowym Warszawskim Kurierze", potrafi tylko powiedzieć: „To jeszcze daleko, diabli wiedzą, gdzie to jest. Kiedy oni przyjdą. Może Amerykany tu wpierw będą". W każdym. bądź razie stara się nas zmitygować, że wyzwolenie nie tak jeszcze prędko nastąpi.

(...)

[Halina] zastała Zdzisia na Freta u tych dwóch „dziewczynek", które tu w zeszłym tygodniu były po pieniądze. Mieszkanko ich to mały pokątny burdelik, a dwie

kobiety tam mieszkające to wyrafinowane prostytutki. W przytulnej spelunce Halina zobaczyła stół zastawiony jeszcze od wczoraj winem, wódką i zakąskami. Libacja trwała na całego. Rozlane trunki i poprzewracane szklanki. Kobiety dobrze podpite, Zdzisio rozmemłany siedzi na kanapce, dziewczynki rozebrane prawie że do rosołu, a jedna z nich, właśnie ta rzekoma żona policjanta, u Zdzisia na kolanach obłapia go czule.

Właśnie w tym momencie Halina otworzyła drzwi i wkroczyła na scenę. Zdzisio z wrażenia zgłupiał i formalnie zaniemówił. Nie mógł w żaden sposób pojąć, jak się domyśliła, że tu bawi, i jak potrafiła go tak błyskawicznie zdekonspirować. Dlatego też, gdy Halina zaczęła mu wymyślać i rozstawiać jego koleżanki po kątach, wyraźnie i bez owijania w bawełnę zaznaczając zawód, jaki uprawiają, Zdzisio ze wstydu zrejterował i spokojnie dał się przyprowadzić do domu jak baranek na rzeź. Teraz już inna sytuacja. Zdzisio zdążył zaczerpnąć tchu i ochłonąć. Wszystko w nim aż kipi. Nie może się pogodzić z tym, że Halina go sponiewierała i tak upokorzyła przy wesołych dziewuszkach na Freta. Nie jest też zbudowany tym, że teraz go tak sztorcuje, że wszystko, co tam widziała, zdążyła wykrzyczeć przy nas. Zdzisio nie może więc dopuścić w żaden sposób, aby Halina zrobiła z niego ostatnią szmatę. Halina używa sobie na nim na całego.

– Na roboty cię złapali, co? Handlujesz na bazarze, ty łazęgo. Na kurwy chodzisz za moje pieniądze. Ty skurwysynu, a później przyjdziesz do mnie do łóżka.

Zdzisio słucha oskarżeń Haliny i za każdym jej słowem dostaje niby to chlaśnięcie po pysku. Już kipi z wściekłości i wstydu, zgrzyta zębami.

– Zamknij się wreszcie, kurwo, może już starczy.

– A co – odgryza się Halina – może będziesz mnie bił?

Jak Zdzisio jej w tym momencie nie chwyci za bluzkę, jak jej nie wymierzy parę razy mocno po twarzy. Halina w jeszcze większy wrzask i tym razem przechodzi do czynnej obrony. Wie, że tym razem jest w prawie, że ma rację. Paznokciami tak zaznaczyła Zdzisia na twarzy, że przez wiele dni będzie się musiał tłumaczyć przed koleżkami na bazarze, iż porżnął się przy goleniu. Zdzisio teraz zupełnie zdziczał. Tłucze Halinę, ile wlezie. My w strachu jak przy żadnej jeszcze awanturze. Już jesteśmy pewni, że źle się to tym razem skończy. Zdzisio, jak nigdy, nie panuje nad sobą. Interweniujemy obydwaj z Hofferem i siłą odrywamy go od Haliny, która, dobrze potłuczona, wyprysnęła do kuchni. Tam jeszcze się odgraża, ale jednak wejścia do pokoju nie ryzykuje. Zdzisia też zdołaliśmy zmitygować. Uspokoił się. Nareszcie koniec, obie strony wyjaśniły sobie, co było do wyjaśnienia. Zdzisio zmęczony całonocną libacją uwalił się w kombinezonie na łóżko, i wkrótce chrapie, aż się po mieszkaniu rozchodzi. Halina nie wyściubiła na razie nosa z kuchni.

Była to największa i najpoważniejsza awantura od czasu, jak tu jesteśmy. Małżonkowie nie rozmawiają z sobą przez kilka dni. Może dlatego, że ślady na twarzy Zdzisia są jeszcze dość znaczne. Halina dzieli ze Zdzisiem łoże, ale od stołu chciała go odstawić.

– Niech idzie na Freta, niech mu tam dadzą żryć.

Zdołaliśmy jej jednak to wyperswadować. Zwracamy jej uwagę, że Zdzisio może naprawdę zastosować się do tej rady i wtedy będzie gorzej. A tak, była to pewnie

chwilowa z jego strony pogoń za przygodą i na tym się skończyło. Halina więc przyszła po rozum do głowy i stawia przed Zdzisiem jadło, nie odzywając się na razie do niego słowem. Zdzisio jadłem nie pogardził, nie marudzi i wydaje się, że mu smakuje. A więc burza niemalże przeszła i dalsza interwencja w celu naprawienia stosunków między małżeństwem jest zbyteczna. Jak już niejednokrotnie było, wspólne łoże dokona reszty i na dobre ich pogodzi. A wtedy my musimy się mieć na baczności i bronić się.

Zostaliśmy znowu prawie bez grosza. Pieniądze, które niedawno załatwił nam Cichocki, miały wystarczyć na dwa miesiące, po dwu tygodniach jednak jesteśmy spłukani. Znajdujemy się jakby między młotem i kowadłem. Jesteśmy tym nieszczęsnym materiałem, który się ugniata, bije, tłucze i czyni z nim, co się żywnie podoba. Wszystkie wybryki Zdzisia, złość Haliny, wszystkie awantury i bijatyki w końcu się na nas skupiają. My jesteśmy wszystkiemu winni. My tylko tracimy przy tym zdrowie. My drżymy, wystraszeni śmiertelnie, gdy Krzyczkowscy się kotłują i wydzierają, że w każdej chwili może ktoś wpaść do mieszkania, chcąc się dowiedzieć, o co właściwie chodzi, dlaczego bez przerwy awantury. Zupełnie prawdopodobne, że Halina przy takiej drace jak ostatnia, w złości zacznie się wydzierać na podwórze, że Zdzisio trzyma Żydów, i wzywać pomocy. W złości, aby się odegrać na Zdzisiu, wszystko jest możliwe i wszystkiego można się po niej spodziewać.

Ostatnie awantury tak nas wykończyły, że nie wiemy, co z sobą począć. Jesteśmy zupełnie roztrzęsieni i rozbici ze strachu. Tak Zdzisio, jak i Halina nie użyczają nam chwili spokoju i wytchnienia. Halina bez przerwy straszy, że już odchodzi, ponieważ i tak z tego wszystkiego nic nie ma. Niech Zdzisio sam się rządzi i nas trzyma. Zdzisio natomiast chodzi ze zwieszonym łbem i nosem spuszczonym na kwintę, jakbyśmy mu wyrządzili wielką krzywdę. Jedyne lekarstwo, jedyny sposób, aby kupić sobie kilka chwil spokoju, aby rozjaśnić oblicza naszych gospodarzy, aby kupić sobie znowu kilka dni życia, to trzymać bez przerwy mieszek otwarty, czerpać z niego bez przerwy i dawać, dawać, płacić bez końca za każdy oddech. Lecz w tym mieszku mamy tak mało. Z każdym dniem staje się on lżejszy, a końca nie widać. Przerażenie nas ogarnia na myśl, że gdy na jeden bodaj dzień przed końcem zaświeci w nim dno, wtedy tylko ulica. Ani Zdzisio, ani Halina nie pozwolą nam, u siebie przesiedzieć choćby o głodzie nawet jednej godziny. Marysia więc wcześniej, niż przewidywaliśmy, musi udać się do miasta i widzieć się z Cichockim,

Istotnie w kilka dni po niesławnej przygodzie Zdzisia na Freta, Marysia zabrała ze sobą sto dolarów i udała się do Cichockiego, aby je sprzedać. Inaczej nie może być i sprzedaży możemy dokonać tylko za czyimś pośrednictwem, a więc niech to już będzie zaufany i wypróbowany Cichocki. Doskonale wiemy, że tracimy ,na tym, ale nie ma innej rady. Cichocki bowiem też nie jest świętym i nie uprawia w stosunku do nas żadnej filantropii. Dobrze zarabia na każdej wymianie, którą dla nas przeprowadza.

Od samego początku, gdy zaczął dla nas załatwiać te sprawy, cena, jaką uzyskujemy za sprzedane dewizy, nie uległa zmianie. Orientujemy się jednak, że w parze z nieustannym pogarszaniem się sytuacji politycznej na niekorzyść Niemców

wartość dolarów i złota rośnie poważnie. Do wysokiego haraczu, który płacimy Krzyczkowskim, dochodzi ponoszona i na tym odcinku niemała strata. I niemały jest jej udział w biedzie, którą teraz klepiemy. Jeszcze jedno każe nam się trzymać Cichockiego i nie szukać innego pośrednika przy wymianie pieniędzy: należność, chociaż uszczuplona, jest pewna. Nie zabierze on nam naszych pieniędzy. Na to jest zbyt przyzwoity. Także wykluczone jest każde inne świństwo. Marysia, a nawet ja możemy się z całym zaufaniem z nim spotykać. Nie grozi nam z jego strony nic złego, żadne niebezpieczeństwo. Zna wiele osób, do których wypada nam się zwracać przy załatwianiu naszych problemów. Na ogół też nie wymawia się od świadczenia nam tych drobnych przysług, wymagających chodzenia i zwracania się w imieniu Żydów. Ma to dla nas olbrzymie znaczenie.

Marysia otrzymała od Cichockiego a conto połowę pieniędzy, co do reszty należności ma się z nim spotkać ponownie za kilka dni na mieście. Albo sama przyjdzie na spotkanie, albo też po pieniądze zgłosi się na umówione miejsce Zdzisio z listem od nas. Marysia opowiedziała Cichockiemu, że ostatnio u Zdzisia jesteśmy narażeni na kłopoty i przykrości. Pragniemy, aby Zdzisia poznał, ale jednocześnie nie zdradził się przed nim, że wie, iż u niego się ukrywamy. Zdzisio może się przerazić i nasze kombinacje w tym względzie mogą odnieść wręcz odwrotny skutek, wprost tragiczny mogą mieć finał.

Zależy nam na tym, aby przekonać Zdzisia, że posiadamy w mieście pewne oparcie u ludzi. Co najważniejsze, chcemy, aby Zdzisio osobiście się przekonał, że otrzymujemy pieniądze z zewnątrz, z obcych źródeł. Cichocki nas nie zdradzi. Da się poznać Zdzisiowi jako pośrednik między nami a kimś potężniejszym, którego też osobiście nie zna i pod którego opieką się znajdujemy. Taka daleko posunięta konspiracja dzisiaj uchodzi. Zdzisia Cichocki z pewnością pozna, Marysia tak dokładnie go opisała, że wszelka pomyłka jest wykluczona. Prosiła też Cichockiego, aby zabrał Zdzisia do knajpy na jednego i by się odniósł do niego przyjaźnie. Kiełkują nam pewne pomysły, wcześnie jeszcze o tym mówić, może uda się tak pokierować sprawami, że przy pomocy Cichockiego w przyszłości trochę Zdzisia zaabsorbujemy i ograniczymy w pewnym stopniu jego chadzanie własnymi ścieżkami.

W jakiś czas po styczniowych zalotach Zdzisia Krzyczkowscy zupełnie się pogodzili. Z przyniesionych przez Marysię pieniędzy otrzymali większą część i to najbardziej pomogło do zgody między nimi. Zdzisio stracił na razie wszelki pociąg do zakazanych przygód miłosnych i trzyma się przyzwoicie domowych pieleszy. Wróciły w ich pożyciu dobre, stare, szczęśliwe czasy. Halina zapomniała i wybaczyła wszystkie niedawne zdrady. Przeciwnie, narzeka teraz na Zdzisia z zupełnie innego powodu. Jak mówi, stał się on teraz jurny jak byk na wiosnę.

(…)

Dla Haliny i Zdzisia [nasze] futra są wielkim majątkiem. Przebierają w nich jak w skarbach. Halina przymierza kołnierze jeden po drugim, czy jej w nich do twarzy. Z miejsca wyrażamy życzenie, aby sobie wybrała i wzięła, jaki jej się najbardziej podoba.

Gdyby nam się udało za wszystko to razem uzyskać sumę cztery, pięć tysięcy złotych, bylibyśmy nad wyraz zadowoleni. Dla siebie zostawiamy duże palto męskie, porządnie podniszczone, podbite barankowym spodem. Z jego sprzedaży możemy najwyżej otrzymać równowartość dwóch–trzech litrów bimbru. Więcej zatem korzyści przyniesie nam ono, gdy będziemy mieli czym się nakryć w nocy. Notabene w palcie tym zalęgła się potem tak potworna ilość pcheł jak nigdy przedtem i o wytępieniu ich już mowy nie było. Resztę przeznaczamy na sprzedaż. Zdzisio wyniesie futrzany kram na bazar i postara się go spieniężyć, przypuszczalnie z lepszym rezultatem niż kiszki i bimber. Uzyskany utarg zamierzamy przeznaczyć na zakup mebli. Po wczorajszym doświadczeniu już nam w myśli nie powstaje oponować ani stawiać w wątpliwość konieczności zakupu mebli dla Krzyczkowskich.

Kilka dni trwało, zanim nasze potargane nerwy uspokoiły się. I to, że Zdzisio bez żadnych ceregieli chciał nas wyrzucić na ulicę, załamało nas po prostu do reszty. Złudzenia prysły.

Przy pospiesznej i gorączkowej ewakuacji do skrytki Leosia dotkliwie się potłukła. W zdenerwowaniu i strachu biedna spadła do dziury w piecu i poobdzierała sobie skórę w wielu miejscach. Gnębi mnie jej stan zdrowia bardziej niż wszystkie inne kłopoty, których nam nie brak. Ukradkiem chwytam się na tym, że mimo woli obserwuję ją z troską. Schudła ostatnio bardzo, zmusza się do jedzenia. Już nieraz zauważyłem, że nie zjada swej skromnej racji. Nie skarży się, tylko coraz częściej tuli się do mnie, jakby szukała u mnie ratunku, pomocy.

Głowa pęka, nie można nic wymyślić. Nie znamy żadnego lekarza, do którego moglibyśmy się z zaufaniem zwrócić, ani też Zdzisio nie pozwoli go tu sprowadzić, aby Leosię zbadał. Jesteśmy bezradni. Nie mamy pojęcia, co począć i jak przeciwdziałać chorobie. A że Leosia jest poważnie chora i cierpi, nie ulega wątpliwości.

Zdzisio zabrał się do sprzedaży futer z wielką energią. Znika na całe dni, handluje na bazarze, aż się kurzy. Tym razem nie trzeba się zbytnio wysilać, aby towar sprzedać. Każda bowiem cena, jaką się uzyska, jest czystym zyskiem. A cały ten zysk jest przeznaczony dla niego. O tym też wie. Zdzisio wynosi różne sztuki, segreguje, zapas towaru wyraźnie się kurczy, ale żadnych pieniędzy na razie nie widać. Nasz gospodarz wraca często do domu zawiany i w dobrym humorze. Niewykluczone, że od czasu do czasu dokonuje wypadu na Freta. Z Haliną też jeszcze jest w dobrej komitywie i odnoszą się do siebie czule.

Ostatnio zauważyliśmy u Haliny nowy nabytek. Złoty zegarek z bransoletką. Wydaje się, że na to poszły kołnierze, albo jest to rezultatem różnicy w cenach pożywienia, które dla nas zakupuje. Futra nasze posłużyły tylko jako okup, kupiliśmy sobie za nie u Krzyczkowskich kilkanaście dni spokoju i wytchnienia. Wielkanoc jednak się zbliża i nie zapomniano o głównym celu, o meblach. Krzyczkowscy szykują się na te święta z jeszcze większą pompą jak na Boże Narodzenie. Układa się już różne plany.

W końcu wszystkie futra powędrowały na bazar, zapas się wyczerpał. Towar znalazł nabywców. Zwrotów tym razem nie ma. Wypada zrobić z tego tytułu jakiś rozrachunek z nami. Nie bierze się oczywiście pod uwagę sum uzyskanych za

poszczególne sztuki. Zdzisio oblicza wszystko razem, hurtem, wrumel, jak on to nazywa. Rachunek wychodzi naprawdę turecki. Zdzisio dobrze wszystko sprzedał, żaden handlarz nie uzyskałby lepszej ceny. Zebrał za wszystkie futra aż około trzech tysięcy złotych. Strasznie dużo według jego oceny. Z tego około tysiąca rozeszło mu się jakoś. Posiada jeszcze dwa tysiące na zakup mebli, stanowczo za mało. Potrzeba jeszcze co najmniej trzech tysięcy. Tyle trzeba będzie mu „pożyczyć". W połowie marca przeto Marysia musi się skomunikować z Cichockim i znowu wymienić pieniądze. Teraz już zdajemy sobie sprawę, że sytuacja nasza jest o wiele gorsza niż dwa miesiące temu. Musimy koniecznie ponowić próby nawiązania szerszego kontaktu z ludźmi. Wyczuwamy, że zaczynamy ciążyć Krzyczkowskim. Niezadługo może nadejść chwila, że będą chcieli się nas pozbyć. Poza tym trzeba szukać kontaktu ze względu na stan zdrowia Leosi, który wcale się nie poprawia, ale wręcz przeciwnie, jest coraz gorzej. Nie jesteśmy już u Krzyczkowskich żadnymi lokatorami, nie płacimy za pobyt, lecz kupujemy sobie każdorazowo kilka albo kilkanaście dni życia, zależnie od sumy jaką zapłacimy.

(…)

Jak to było naprawdę z rodziną dozorcy i dlaczego faktycznie ich wykończono, nie ma pojęcia. Różnie według niego to sobie tłumaczą. Jedni mówią, że wydawali Niemcom Żydów. Drudzy znowu utrzymują, iż kapowali i wydawali ludzi z organizacji. A więc nie była to zwykła zbrodnia ani też osobista zemsta. Sprawiedliwy wyrok został wykonany. Szuje otrzymały zapłatę taką, jaka im się należy. I nam stało się wiadomym i Krzyczkowscy zetknęli się z faktem, że za wydawanie Niemcom Żydów czy nawet nie–Żydów także się ginie, a nie tylko otrzymuje się nagrodę. Nie słyszało się o takich wypadkach jeszcze kilka miesięcy temu. Już sama świadomość, że karzące ramię sprawiedliwości dosięga i zabija, powstrzyma może niejeden niecny zamiar i czyn.

Przez wiele dni ulica nie przestaje mówić o tym wydarzeniu. Krzyczkowscy też przez dłuższy czas chodzą rozstrojeni. Dotarło może do ich świadomości, że nie wszystko obraca się tylko dokoła handlu kaszanką, picia bimbru, uganiania się za dziewczynkami. Może pojęli, że Warszawa to nie tylko bazary i flaki z pulpetami, że toczy się tutaj straszna wojna. Wojna także z tyłu, z dala od frontu, na śmierć i życie. Istnieją dwie strony barykady, pośrodku nie ma dla nikogo miejsca. Już bliski może dzień, kiedy każdy i tutaj będzie musiał się zdeklarować, po której stronie jego stanowisko.

Z Leosią jest coraz gorzej. Pozostał tylko cień dawnej dziewczyny przy kości. Wszystko na niej wisi. Żałość mnie chwyta za serce, gdy na nią patrzę. Suchy, uporczywy kaszel rozdziera jej piersi i nie daje chwili wytchnienia. Duże oczy spoglądają ze skargą i widać w nich niewymowne cierpienie jeszcze dziecka przecież. Nie skarży się. Chce tylko być ze mną razem. Nie możemy jej dać lepszego pożywienia. Kilka razy prosiliśmy Halinę, aby przyniosła dla niej kawałeczek masła i trochę mleka. Wykręca się od tego, jak tylko się da. A to nie może dostać, a to nie chcą sprzedać, wreszcie, że musi pojechać aż na bazar. Po wielu naleganiach przyniosła kilka razy po butelce mleka i na koniec oświadczyła, że nie będzie pieprzyć się więcej z takimi zakupami. Leosia nie chce, aby Halina kupowała dla niej drogie mleko

i masło, gdy my głodujemy i żywimy się miseczką postnej prawie zupy i kartkowym chlebem. Jest mi tak źle jak na Umschlagu przed załadowaniem nas do wagonów.

Halina buntuje Zdzisia i wierci mu dziurę w brzuchu dniem i nocą. Nic nie mają z nas, nastawiają tylko głowę. Inni, jak trzymają Żydów, to chociaż się pobogacili. A oni tylko za żarcie. Nic to, że wybrali już z pewnością za rok z góry i niezależnie od tego płacimy im regularnie tygodniówkę. Znajoma, którą gościli w czasie Wielkanocy, powiedziała, że posiadają piękne mieszkanie i na pewno jest ono dużo warte. Zdzisio więc teraz chodzi z nabitą głową, że je sprzeda, weźmie od razu grubszy grosz i będzie się mógł wreszcie zabrać za solidny handel. Nie wiemy, czy szantażuje nas i po prostu straszy, aby móc znowu wydusić z nas większą sumę, czy też naprawdę myśli o pozbyciu się mieszkania. U Zdzisia wszystko możliwe. Nic nie mówi, abyśmy szukali sobie innego miejsca. Chyba nie zamierza sprzedać mieszkania razem z nami w skrytce.

Nerwy nasze są napięte do ostateczności. Mimo wielkich porażek politycznych Niemców i cięgów, które dostają na polach bitew, jednak za długo to się wlecze. Nadzieja nas opuszcza i coraz mniej wierzymy, że uda nam się wytrwać. Siły nasze są na wyczerpaniu i sami jesteśmy zdumieni, że aż dotąd dociągnęliśmy. Niewątpliwie wydarzenia na mieście, zaostrzona sytuacja, wzmagający się z każdym dniem terror oddziaływują na Krzyczkowskich i łamią ich. Zaczynają się bać, dlatego stają się może coraz bardziej nachalni i źli dla nas. A to jest najgorsze. Zdzisio staje się łobuzowaty. Dotąd, trzeba przyznać, kwękał, stękał, kręcił się, robił ponurą, grobową minę, starał się jeszcze wyciągnąć kilka tysięcy złotych „z góry", ale łobuzem nie był. Postępowanie Haliny w stosunku do nas było zawsze odbiciem jego nastroju i linii, jaką w danym okresie obrał.

Mam jednak wrażenie, że Krzyczkowscy sami jeszcze nie wiedzą, czego chcą, sami jeszcze w pełni nie są zdecydowani. Ich chaotyczne postępowanie dowodzi, że sami uwikłali się w sprzeczności. Chcieliby nas się pozbyć, z drugiej znowu strony nie są może pewni, czy tak będzie dobrze, czy nie zostaną na lodzie. Czy rzeczywiście, gdy nas się już pozbędą, sprzedaż mieszkania da im dobrobyt, o jakim marzą. W każdym razie nie są zdecydowani wypuścić nas z ręki gładko. Niejasno jeszcze, ale zaczyna kiełkować w nas uczucie, że myśli ich w stosunku do nas nie są uczciwe. Gdyby jednak znali całą tragiczną prawdę, byłoby jeszcze gorzej. Przecież my nie mamy dokąd iść. Przecież my tego mieszkania, w którego wyszykowanie włożyliśmy większość posiadanych funduszów nie chcemy opuścić, ani nie możemy. Tym bardziej przeto musimy zachować, a nawet poszerzyć nasz kontakt ze światem. Dostateczny i przekonywający powód jest na miejscu. Pragniemy ratować Leosię. Poza tym musimy znowu mieć pieniądze.

I teraz Krzyczkowscy zaczynają nam czynić wstręty. Niby z ich strony uzasadnione. Nie chcą pozwolić Marysi ani nikomu z nas wyjść do miasta.

– Jak wyjdzie – powiada Zdzisio – to niech już więcej nie wraca, bo jej nie wpuszczę. Nie będzie żadnego kręcenia się. Siedźcie, jak wam dobrze.

Ale przecież musimy dotrzeć do jakiegoś lekarza, musimy Leosię ratować. Przecież nie możemy pozwolić, aby nam tu na oczach umierała.

– A, to tylko tak kręcicie – mówi Zdzicho. – Nic jej nie będzie, cholera jej nie weźmie.

– Nie mamy też pieniędzy – mówię.

– Nic wam nie wierzę – odpowiada na to Zdzisio. Kto by wam dawał tyle pieniędzy na mieście? Wy tylko tak, mnie, głupiemu Zdzisiowi, głowę kręcicie cały czas i oszukujecie, że nie macie pieniędzy, ciągle nie macie pieniędzy. Marysia wychodzi i zbiera je na ulicy, co? Nie dla mnie ten bajer. Nie dla Zdzisia ta gadka. Jak trzeba będzie, to pieniądze się znajdą. Cichocki wam daje pieniądze, co? Dajcie mnie list do Cichockiego, to je wam przyniosę, nie trzeba się będzie kręcić.

Teraz nas zaszachował. Musimy koniecznie zyskać na czasie. Nie wolno nam też w żadnym wypadku wdać się z nim już teraz w otwartą wojnę. Trzeba tylko po dobremu, nie doprowadzać do ostateczności, nie zatrzaskiwać za sobą drzwi, nie dać się zapędzić w ślepy zaułek ani na drogę, z której nie ma powrotu. Tylko łagodnie, dyplomatycznie, jeżeli nas na to stać. Już Zdzisia trochę znamy. W obecnych kłopotach wykrywamy niemały udział Haliny. Ciągle i bez przerwy buntuje go, gra na nerwach i prowokuje:

– Patrz, ty łamago, dziadem jesteś, inni trzymają Żydów, to się pobogacili. Nie tak jak my. Oni mają od cholery pieniędzy, tylko nam nie chcą dać. Oszukują cię cały czas. A ty jesteś fujara i dajesz się tak prowadzić. Mądre są te Żydy. Już ja ich znam. Udają, że nie mają, nie kupują sobie jedzenia, ale już mnie nie oszukają.

Te i podobne nauki nieraz już ostatnio dochodzą nas z ich pokoju w nocy. Jesteśmy ich interesem, toteż naradzają się, jak go należy prowadzić.

Hoffer korzystając z tego, że Halina poszła po zakupy, a Zdzisio niekompletnie ubrany, ale już po śniadaniu, kręci się po domu nie zdecydowany jeszcze, jak spędzić pozostałą część dnia, bierze go w obroty:

– Siadaj Zdzisiu – powiada – porozmawiamy spokojnie. Haliny nie ma, nikt nam nie będzie przeszkadzał, już dawno zbierałem się z tobą pomówić, nie było jednak dogodnej okazji.

Wszyscy usuwamy się delikatnie w kąt. Jednak z napięciem staram się przysłuchiwać rozmowie.

– Widzę – powiada Hoffer – że chodzisz ostatnio niezadowolony, coś cię gniecie. Czuję to i my wiemy, że nie jesteś żadnym łobuzem. Dla nas twój honor więcej znaczy jak wszystko. Wierz, że gdybyśmy ci nie ufali, nie przyszlibyśmy do ciebie. Mieliśmy przecież inne miejsce. Woleliśmy jednak ciebie i chcemy u ciebie i z tobą wytrzymać do końca. Widzisz przecież, że już to niedługo potrwa. Już tylko co patrzyć, będzie koniec. Jeszcze kilka tygodni najwyżej i po wszystkim. Zapytaj się, kogo chcesz, na mieście, a powiedzą ci, że gdy tak dalej pójdzie jak teraz, to za miesiąc, dwa Rosjanie będą w Warszawie. Już przecież prawie rok jesteśmy tu z wami razem, wszystko dotąd przeszło szczęśliwie, Bóg nas zachował i ciebie. Na pewno wytrzymamy jeszcze ten krótki okres, który nam pozostał. Wiesz sam, że mieszkanie jest dobre, wyszykowałeś skrytkę taką, że i najlepszy inżynier mądrzej by tego nie wymyślił. Zobaczysz, że jeszcze ludzie z zagranicy, turyści, będą przychodzić i podziwiać, jak to zrobiłeś i jak nas przechowywałeś. Ty sam o tym nie pomyśla-

łeś, ale tak będzie. Nie słuchaj Haliny, ona ci kręci głowę i nie rozumie, o co się rozchodzi. Ty przecież masz swój rozum i swój honor. Skoro potrafiłeś to wszystko zbudować i przetrzymaliśmy u ciebie już prawie rok, to nie po to przecież, aby teraz wszystko zmarnować. Sprzedasz mieszkanie i co potem? Pieniądze ci się rozejdą i drugiego takiego już nie będziesz miał. A co dzisiaj wart cały handel, jeszcze cię gdzieś złapią na bazarze i na zakończenie wpadniesz. A i nam też niełatwo będzie teraz, gdy Leosia jest tak chora, znaleźć sobie inne miejsce. My przecież wiemy, że nie po to nas wziąłeś do siebie i trzymałeś już rok, żeby mieć z tego tylko trochę żarcia. Nie po to się przecież narażałeś, żeby jakoś wojnę przetrzymać. Przecież na pewno liczysz na to i my to tak pojmujemy, że po wojnie powinieneś za to mieć korzyść. Przecież jak nam uratujesz życie, my cię nie zostawimy, żebyś znowu musiał się mordować.

(…)

Usnąłem i w pewnej chwili się przebudziłem. Słyszę, jak Leosia ciężko oddycha. Zaczynam się przewracać z boku na bok wtem Hoffer kładzie rękę na mnie i nakazuje ciszę. Krzyczkowscy nie śpią, rozmawiają głośnym szeptem i przez na wpół otwarte drzwi można dosłyszeć, o co chodzi. Staram się nie oddychać prawie. Nie dobra to rozmowa, na nasz temat. Halina kładzie Zdzisiowi w głowę:

– Ty barania, dajesz się im bajerować, oni cię kołują, jak chcą. Są nadziani forsą, a ty ich trzymasz za darmo. Nastawiamy tylko łba. Co masz z tego? Dawniej kupowałam im więcej żarcia, to jeszcze coś skapło. Teraz to się nawet nie opłaci i nic z tego nie ma tak mało każą sobie przynosić. Ja ci mówię, Zdzichu, tak łatwo się ich nie pozbędziesz, ani nie będziesz mógł sprzedać mieszkania. Zrób tak, jak ja ci każę, jak wszyscy robią. Obszukajmy ich i znajdziesz całą forsę. Trzeba ich zrewidować. A potem albo ich zostawimy z tym mieszkaniem albo już się pomyśli, co z nimi zrobić. Nie bądź frajerem, mówię ci, bo będziesz wiecznym dziadem. – Halina przekonuje Zdzisia, jakby spodziewała się oporu z jego strony, jakby liczyła na opozycję. A więc do tego zmierzają, chcą nas ograbić, a potem się zobaczy, co dalej.

– Ja ci mówię – dodaje jeszcze Halina – oni ci rykszy nie kupią, ani nie dadzą na nią pieniędzy. Ta Marysia teraz się kręci i wychodzi na tak długo do miasta, ona coś tam kombinuje, chcą nas wykołować.

Długo nas dochodzą jeszcze z ich pokoju szepty i przekonywanie. Nareszcie, wydaje się, usnęli. Jest niedobrze. W jakiś czas potem Hoffer cichutko w skarpetkach przekrada się do ubikacji. Pobył tam kilkanaście minut i niby zjawa, bez szmeru, wrócił i położył się obok nas.

Zaczyna już świtać. Próbujemy się zdrzemnąć, ale sen nie przychodzi. Krzyczkowscy wstali wcześniej niż zwykle. Halina w kuchni. Zdzisio poszedł do ubikacji. Teraz zaczyna szwendać się po mieszkaniu, nie odzywa się do nas słowem, głowa opuszczona, nie patrzy nam w oczy. Usiadł przy stole, coś zamyśla, znowu się kręci po pokoju. Chciałby czegoś, ale jakby nieporęcznie mu zacząć. Wreszcie Hoffer postanawia go zaczepić.

– Chodź no, Zdzisiu – powiada. – Dlaczego chodzisz taki zmartwiony? Co się z tobą dzieje? Jeszcze kilka dni i będziesz mógł sobie zacząć zestawiać rykszę.

– Nie, stary, tu nie o rykszę chodzi. Chcecie znowu tylko ciągnąć. Wy siedzicie na forsie, a ja muszę się mordować. Albo będę miał grubszą gotówkę, albo inaczej muszę z tym wszystkim zrobić porządek.

– Wiesz ty co – powiada Hoffer – stale chodzisz z tym, że cię oszukujemy, nie wierzysz nam, że pieniędzy nie mamy, że je otrzymujemy i prawie wszystkie ci oddajemy. Zostawiamy sobie tylko tyle, ile na życie. Widzisz, żeby ci pokazać, że nie masz racji, mówię ci sam, nie musisz się radzić Haliny, zrewiduj nas. Jak znajdziesz ukryte pieniądze, weź je sobie, a nas możesz wyrzucić na ulicę.

– Nie – odpowiada Zdzisio – nie chcę wam zabrać, ale muszę wiedzieć, jak to jest.

– Nie trać czasu – mówi Hoffer. – Już możesz zaczynać. – I wyrzuca przy tym wszystko na podłogę, opróżnia kieszenie. – Po co się bawić. Masz, rewiduj i zawołaj Halinę, ona i tobie przecież nie będzie wierzyła, czy dobrze nas obszukałeś. Jesteśmy zdenerwowani, ręce nam się trzęsą. Zdzisio fachowo przegląda i przewraca każdy skrawek odzieży Hoffera. Halina się zjawiła i asystuje. Zbladła cholera. Zdzisio spokojnie robi swoje.

– Weź – mówi do Haliny – Leosię do kuchni i dobrze ją obszukaj, wiesz już jak. Leosia postępuje za nią jak na stracenie. Ledwo powłóczy nogami. My zostajemy w pokoju ze Zdzisiem, który tak rewiduje Hoffera, że i szpilka nie ujdzie jego uwagi. Jeszcze przed rewizją Hoffer od razu wyłożył przed nim, kilka tysięcy złotych, które miał przy sobie.

Z Hofferem trwa długo, Zdzisio jest rozczarowany, nic u niego godnego uwagi nie znalazł. Halina obrabia Leosię w kuchni. Zdzisio kończy z Hofferem, potem zabiera się do mnie. Jeszcze nikt nigdy tak skrupulatnie mnie nie rewidował. W końcu przychodzi kolej na Stasia. Halina wraca z Leosią i oświadcza, że nic u niej nie znalazła. Każdy centymetr jej ciała przebadała. Przeprowadziła na niej badanie ginekologiczne niczym lekarz.

Zdzisio niezadowolony, małżeństwo denerwuje się. U Stasia też żadnych wyników. Halina nie daje za wygraną.

– Przeszukaj – powiada do Zdzisia – wszystkie ich łachy i w środku w skrytce.

Zdzisio sam to miał zamiar uczynić, nie trzeba mu było tego przypominać. Przetrząsa teraz dokładnie naszą kołdrę, futro, którym się nakrywamy. Wreszcie wszedł do skrytki i uważnie ze świecą w ręku sprawdza, czy czegoś tam nie ukryliśmy.

Krzyczkowscy są rozczarowani i zdumieni. Zupełne pudło. A tak święcie byli przekonani, że posiadamy wielki majątek, i że się obłowią.

Wszyscy jesteśmy zdenerwowani w najwyższym stopniu. Krzyczkowscy najwięcej nadziei pokładali w dokładnym obszukaniu Hoffera i Leosi. Gdy nic u nich nie znaleźli, Zdzisio jeszcze wierzył, że w jakimś zakamarku skrytki albo w sienniku ukryte jest złoto. Tu zaś klapa na całej linii. Krzyczkowscy z tego wszystkiego sami zgłupieli. I Halina, która hodowała w sobie już przez dłuższy zapewne czas nadzieję nagiego wzbogacenia się, teraz zupełnie oklapła. Zostali jej tylko biedni, chorzy i wystraszeni Żydzi. Przeżywamy straszne chwile, które może zadecydują już teraz o naszym życiu. Reakcja Krzyczkowskich może być dla nas tragiczna.

Zdzisio w pierwszych minutach po ukończeniu rewizji usiadł, zwiesił głowę i patrzy W dół, w podłogę, i chyba nic nie widzi. Jest wyraźnie zaskoczony wynikiem i sam sobie nie wierzy, że tak może być.

– Muszę teraz – odzywa się wreszcie – sprzedać mieszkanie, sprowadzę kupców i niech idzie do cholery.

– Zdzisiu – powiada do niego Hoffer – nic się przecież nie stało. Nie chcesz nas przecież wyrzucić na ulicę, nie chcesz nas przecież zgubić. O co ci idzie? Załatwimy ci rykszę, wystaramy się o pieniądze na nią. Jestem pewien, że już za kilka dni będziesz mógł zacząć ją sobie składać i za miesiąc wyjedziesz na miasto. Nigdy cię nie oszukiwaliśmy i teraz, gdy ci przyrzekam, że kupię rykszę, to już możesz szukać do niej części. Zestaw sobie nową, dobrą, tak jak chcesz i żeby ci się podobała, bo ty się przecież znasz, co dobre. Nie kupuj starego grata, żebyś się potem nie musiał mordować. Miej cierpliwość i wytrzymaj jeszcze trochę, a nie będziesz żałował. Będziesz miał nie takie mieszkanie. Posiadam dom w Warszawie i Marysia też. Dostaniesz, co sam będziesz chciał. Tyle czasu przesiedzieliśmy u ciebie i mielibyśmy ci potem żałować? Masz pieniądze, poślij Halinę, niech przyniesie coś do wypicia i przegryzienia i uspokój się. Ja też jestem tak zdenerwowany, że muszę wypić kielicha, aby przyjść do siebie. Nie martw się tak, nic nie straciłeś. Jeszcze miesiąc, dwa i będziecie gwizdać na wszystkich, będziecie się śmiać ze wszystkich.

– Idź, Halina – zwraca się do niej Zdzisio – przynieś litra, bo sam z tego wszystkiego zgłupiałem, muszę dobrze pomyśleć, co dalej robić.

Halina wyjątkowo prędko uwinęła się z zakupem i wróciła. Hoffer rozlewa cały litr w cztery szklanki. Jednym pociągnięciem cały litr bimbru został wysuszony. Zagryzamy przyniesioną zakąską. Alkohol zaczyna działać. Myślenie sprawia trudność, w głowie się mąci, język jakby pokręcił się w supeł, który nie sposób rozplątać.

Halina poszła po coś do kuchni. Hoffer trochę pojadł i w następnej minucie poczuł się niedobrze, złapał się za brzuch.

– Co za jakiś cholerny bimber Halina dzisiaj kupiła – powiedział – i pobiegł, rozpinając spodnie do ubikacji.

Zdzisio śmieje się, humor trochę mu się poprawił. – Stary nie może już wcale pić – powiada.

Słyszymy, jak tam w ubikacji Hoffer spuszcza wodę z rezerwuaru, postękuje i po kilku minutach wraca. Zdzisio tymczasem wychodzi na balkon rozejrzeć się po świecie i zaczerpnąć świeżego powietrza. HofIer nieznacznie skinął na Stasia, a gdy ten się przybliżył na moment, wcisnął mu w rękę małe zawiniątko. Stasio w mig schował je do kieszeni spodni i oddalił się. Nikogo w tym czasie nie było w pokoju i ani Zdzisio, ani też Halina nie wiedzą, że wydarzyło się coś podejrzanego.

– Idź – powiada potem Hoffer do Zdzisia – rozejrzyj się w mieście, gdzie można kupić części do montowania rykszy. Podwozie na pewno uda się skonstruować przy pomocy Cichockiego. Będziesz miał rykszę jedną w Warszawie.

Halinę rozbolała głowa, pełna szklanka bimbru zwaliła ją z nóg. W ubraniu, jak stała, położyła się do łóżka i już śpi. Zdzisio ma mocną głowę, jest bardziej wytrzy-

mały, wybiera się do miasta. Dzisiaj jednak chce wyglądać poważnie, statecznie, nie jak łachudra. Poplamiony kombinezon nie pasuje. Przebiera się w mój granatowy garnitur. Wcale nie pyta mnie o zgodę. Wygląda na to, że na dobre już go zaanektował. Nie odzywam się słowem.

Na razie Zdzisio na całą przemowę Hoffera co do rykszy jeszcze nie zareagował, ani nie powiedział nie, ani nie powiedział, że się zgadza. Nie wiemy, czy chce nas dalej u siebie trzymać, gdy wie, że nie posiadamy pieniędzy i skarbów. Dalej wszystko pozostaje w zawieszeniu i nie mamy pojęcia, czy uda nam się tu utrzymać. W jakim celu Zdzisio poszedł do miasta, też nie wiemy. Czy poszedł szukać części do rykszy, czy kupców na mieszkanie, nie powiedział. To, że pił z nami wódkę po rewizji, jest poniekąd dobrym znakiem, chyba się jeszcze zastanowi i nie wyrzuci nas z miejsca na ulicę.

(…)

Nieszczęsna ryksza wreszcie się narodziła i Zdzisio paradnie pojechał nią na bazar. Jeździł cały dzień, przepił z koleżkami trochę pieniędzy i nic nie zarobił. Ani jeden kurs się nie trafił. Cały handel szmuglowaną na bazarach żywnością ustał. Ze wschodu nic już nie przychodzi. Tylko pociągi rannych i uciekających Niemców. Nieliczne tylko handlary oferują spod spódnicy kawałek słoniny po horrendalnej cenie. Agenci niemieccy szwendają się po targowisku i polują na paskarzy.

I temu jesteśmy winni, że nie ma szmuglu, że nie ma na bazarach handlu i Zdzisio dzisiaj nie może zbijać kokosów. Pięć lat strasznej wojny niczego tych ludzi nie nauczyło. Jesteśmy świadkami historycznych wydarzeń. Na naszych oczach cały świat zostaje przeorany gigantycznym pługiem wojny do nowego życia. Na pewno lepszego jak dotychczas. Krzyczkowscy tylko źli i mają się za pokrzywdzonych, że w Warszawie bazar Różyckiego nie prosperuje.

Niemcy, wydaje się, zupełnie rozbici i nie panują nad sytuacją. 23 lipca ogarnia ich panika. Masowo uciekają z Warszawy. Wszyscy cywile Niemcy jak tylko mogą i czym tylko mogą opuszczają Warszawę i uciekają dalej na zachód. Furmankami, samochodami, pociągami, każdy środek lokomocji dobry. Warszawa widzi to i warszawiacy stoją na ulicy i już zupełnie jawnie naśmiewają się. Trzy dni trwa ten masowy exodus, do 27 lipca. Ale całkowicie nie opuszczają miasta i nie zostawiają go otwartym. Część administracji pozostawili, a może władzę nad miastem objęły jednostki frontowe. 27 lipca ukazuje się rozplakatowane w całym mieście ogłoszenie o przymusowej mobilizacji stu tysięcy Polaków do kopania okopów do obrony Warszawy przed nacierającymi bolszewikami. A więc Warszawy jeszcze nie oddają, chcą przeistoczyć olbrzymie, milionowe miasto w punkt oporu.

Już chyba ostatnie dni, ostatnie godziny Niemców w Warszawie. Przymusowa mobilizacja Polaków do kopania okopów doznaje zupełnego fiaska. Olbrzymia klapa na całej linii. Polacy sabotują zarządzenie i nie zgłaszają się do roboty.

Zdzisio nie wychodzi z mieszkania w obawie, aby go nie złapali na ulicy. Takich jest wielu. Przy całej swej zadziorności Zdzisio boi się Niemców jak ognia. Ryksza stoi na podwórzu i czeka na lepsze czasy dla szmuglerów. Jesteśmy głodni i zdenerwowani do ostatnich granic. Trudno uprosić Halinę, aby przyniosła nam gazetę.

Opryskliwa jak zły pies. Jednak przyniosła. Szmatławiec zapełniony jadowitymi wypocinami pod adresem żydokomuny. Najważniejszy komunikat frontowy. A ten mówi już o walkach na południe od Warszawy, o miejscowościach nad Wisłą. W dzień coraz częściej i coraz więcej przecinających niebo samolotów. Wysoko przelatują myśliwce. Artyleria niemiecka strzela, ale sporadycznie i zupełnie bezskutecznie. Wiadomości z miasta jesteśmy pozbawieni zupełnie. Zdzisio ze strachu nie wyściubia nosa, a Halina jest bardzo słabym informatorem.

W sobotę 29 lipca nad wieczorem, ze wschodu, od strony Pragi, słychać dziwne, potężne grzmoty. Nie jest to jednak letnia burza. Strzela artyleria frontowa. Wyraźnie nas tutaj dochodzą wybuchy. Serce podchodzi do gardła ze wzruszenia. Lata męki i znoju poprzedziły tę chwilę, gdy echa walki znowu zapukały do naszych drzwi. Przez całą noc nie mrużymy oka i wsłuchujemy się w kanonadę z okolic Otwocka, może Świdra. Następny dzień – niedziela 30 lipca 1944 roku. Za dnia nie słychać działań artylerii. Chyba to jeszcze dość daleko. Siedzimy podnieceni. Jeszcze dzwonią nam w uszach nocne wybuchy. Liczymy godziny. Żeby choć Marysia przyszła i powiedziała nam, jak naprawdę sytuacja się przedstawia. Ona na pewno wie lepiej, co się dzieje. Ale Niemcy są jeszcze w Warszawie. To się czuje w powietrzu. Dzień jest świąteczny i cicho wszędzie. Wolno wloką się godziny. Czekamy z utęsknieniem nocy. Czy słychać będzie artylerię?

Dzień przeżyliśmy o kilku kromkach czerstwego chleba. Nic nie gotujemy i z braku produktów, i ochoty. Krzyczkowscy trzymają się od nas z daleka. Hoffer tylko spokojny. Modli się bez przerwy. Jestem tak podenerwowany, że nie potrafię skupić myśli.

(...)

Marysia przyszła. Dzień ma się ku schyłkowi. Powoli zapada zmierzch. Ściemnia się. Wolno, jakże przeraźliwie wolno płynie czas. Jestem przekonany, że całe miasto czeka, że milion ludzi dzisiaj czeka. Wiem, że miasto drzemie, ale nie śpi. Nikt chyba nie śpi. I dzisiaj w ciszę nocy wdziera się dudnienie dział. Wojna nie śpi, wojna nie zna spokoju.

Poniedziałek, ostatni dzień lipca 1944 roku. Zdenerwowanie dochodzi do zenitu. Coś się przecież musi stać. Zdzisio odważył się wyjść do miasta. Po niedługim czasie wraca. Na mieście wiele patroli. Na Pragę, na bazar Różyckiego dzisiaj nie pojechał. Zabrakło mu odwagi. Wrócił głodny i już od drzwi rozkazuje Halinie, aby mu szykowała obiad. Pomstuje na kupca, że się nie zjawił dokończyć transakcji. Chociaż nie mamy pojęcia, co by mu to dzisiaj dało, gdyby nawet zainkasował kilkanaście tysięcy złotych za mieszkanie. Zachowanie się Krzyczkowskich jest tak dziwne jak oni sami. Przecież przeżywamy przełomowe chwile.

Dzień jest upalny, dusimy się. Zmęczeni i zdenerwowani. Już nawet nie zwracamy tak wielkiej uwagi, jak dotąd, na humor Zdzisia, na dogryzania Haliny. Trwamy w napięciu. Instynktownie, wszystkimi zmysłami jesteśmy przygotowani na zmianę. Coś się musi stać. Kawałek chleba, trochę gorącej, zabarwionej wody, to nasze dzisiejsze pożywienie. Dzień czekania i niespełnionych życzeń. Znowu zmierzch i znowu wieczór. Znowu słychać huk dział, ale wcale nie bliżej jak wczoraj i przed-

wczoraj. To już trzecia noc. Wsłuchani w odgłosy kanonady odganiamy sen, potwornie zmęczeni. Drzemiemy i budzimy się. Nic się nie wydarzyło. Noc minęła. Nam jest tylko jeszcze gorzej i ciężej na sercu niż wczoraj. Coś się zepsuło w mechanizmie wojny i wstrzymuje jej rozpęd.

Dziś jest wtorek 1 sierpnia 1944 roku. Dzień zapowiada się ciepły i bez chmurki, jak wczoraj. Krzyczkowscy wstali. Zdzisio odsiaduje swój ranny czas w ubikacji, Halina krząta się w kuchni i szykuje śniadanie. Nie przeszkadzamy im. Około godziny dziesiątej pojedynczo przemykamy się do ubikacji i potem każdy z nas myje się w kuchni. Po śniadaniu Zdzisio poszedł się trochę przewietrzyć i rozejrzeć na mieście. O godzinie jedenastej przeraźliwie zaczyna wyć syrena, zwiastująca alarm lotniczy. Samolotów jednak nie słychać, także artyleria przeciwlotnicza nie strzela. Dziwny jakiś alarm. Zdzisio gdzieś się zawieruszył i już kilka godzin, jak nie wraca. Halina przez cały czas jest w mieszkaniu. Pitrasi w kuchni. Nagle, około drugiej słychać pukanie do drzwi wejściowych. To nie Zdzisio, ktoś obcy. Szybko, nie czekając na Halinę, wdrapujemy się do skrytki. Gdy Halina zdenerwowana wpada do pokoju, ostatni z nas chowa się już w piecu. Zasuwamy klapę i z biciem serca czekamy. Któż to I może być? Halina, ociągając się, poszła otworzyć. Już obcy jest w mieszkaniu. Ale czeka nas radosna niespodzianka. To Marysia. Już słyszymy, jak Halina się złości i Marysia ją uspokaja. Otwieramy klapę i wydostajemy się z pieca. Radość nasza nie ma granic. Halina wygraża:

– Zaraz – powiada – Zdzisio przyjdzie i będziecie mieli za swoje. Już dosyć was mamy.

Wtem słychać strzały na ulicy, i to, wydaje się, z wielu stron. Zaraz potem wpada zdyszany Zdzisio i już od drzwi woła:

– Schowajcie się prędko. Zabili Niemców na ulicy. Żołnierzy. Zaraz żandarmy obstawią ulicę

Halina mu raportuje, że przyszła Marysia.

– Po co ona tu – powiada – teraz przyszła? Już dzisiaj stąd nie wyjdzie. Nie wypuszczę.

I znowu siedzimy zamknięci w skrytce. Rozmawiamy cichym szeptem. Krzyczkowscy zamknęli mieszkanie i ulotnili się· Coś tu jednak nie klapuje. Niemal pewni jesteśmy, że wydarzyło się, coś niezwykłego. To chyba nie jest zwykłe zabójstwo Niemca na ulicy. Marysia mówi, że na mieście jest dzisiaj podejrzanie niespokojnie. Niezwykły ruch panuje od rana. Tramwaje przepełnione. Nie kursują na wielu liniach i nie we wszystkich kierunkach. Ludzie spieszą się i pełno mężczyzn. Od placu Unii Lubelskiej przyszła do nas na piechotę. Martwi się, co teraz będzie, gdy nie wróci dzisiaj do domu. Gospodarze będą się niepokoić. (…) W mieszkaniu cicho, ale przez ściany dochodzi nas z zewnątrz echo strzelaniny na ulicach. Słychać strzały ze wszystkich stron. Nawet jakby serie karabinów maszynowych. Strzelanina nie ustaje, a przeciwnie, wzmaga się. Coś się przecież dzieje, a my tu siedzimy zamknięci i schowani. Otwieramy klapę pieca i stojąc lepiej słyszymy odgłosy z zewnątrz. Ciekawe to jednak. Trwa ciągła strzelanina, chyba w całym mieście. Cóż to się dzieje? I czy to jest to, na co czekamy? Czy jesteśmy wolni? Czy w Warszawie coś się zmieniło?

W mieszkaniu cicho. Na podwórzu jednak bieganina. Jakieś donośne głosy. Ktoś czymś czy kimś komenderuje. Zachodzimy w głowę, co też to może znaczyć i ani rusz nie możemy niczego zrozumieć. Snujemy różne domysły. Jednak tam strzelają i strzały wymierzone są w Niemców, tam jest nasza strona barykady, tam nasze miejsce. Tam, gdzie strzelają i walczą z Niemcami, tam przecież toczy się walka i o nasze życie. Tam przecież i myśmy powinni być.

Słychać echa strzelaniny od strony Woli, Powiśla i Okęcia. Już kilka godzin, jak Krzyczkowscy opuścili mieszkanie i zostawili nas samych. Zmierzcha, gdy słyszymy chrobot klucza w zamku, ktoś otwiera drzwi i wchodzi do mieszkania. Przezornie zamykam nad głową klapę pieca i nasłuchuję. Zdzisio z Haliną wrócili. Nie jestem jednak pewien, czy sami. Dobrych kilka minut upływa, zanim słyszymy głos Zdzisia:

– Możecie otworzyć klapę. – A gdy to czynię, ten powiada: – Klapa może być otwarta, ale niech wszyscy nie wychodzą. Nie szwendać się po mieszkaniu. Pojedynczo, jak potrzeba, można wejść do kuchni. Co wam tak pilno? Zadaję szereg pytań, na które otrzymuję połowiczne i zdawkowe odpowiedzi. Zdzisio wyraźnie zachowuje rezerwę, jakby przed samym sobą chciał wykazać, że nie ma z nami nic wspólnego.

– Siedźcie na dupie, jak wam dobrze. Żeby was nikt nie zobaczył, bo marny wasz koniec. Jeszcze Rusków nie ma. Niemcy jeszcze nie uciekli. Zabili trochę Szwabów, ale jak przyjdą i będą robić rewizje po mieszkaniach, dopiero będzie heca.

– Ale przecież strzelają – powiadam do niego. – Gdzie to i kto strzela? Co mówią na ulicy?

– Siedźta cicho – mówię wam – i wiele się nie mądrzyjcie. Postrzelają wariaty i Szkopy się za nich wezmą. Żeby tylko tu nie przyszli, bo będzie źle.

Miny nam zrzedły. To nie to, na co czekaliśmy. Zdzisio nam dalej, kategorycznie obwieszcza:

– Nikt nie może z mieszkania wyjść, bo nie wypuszczę. Maryśka przyszła, to niech teraz siedzi. Powiedziałem, niech się tu nie kręci.

Korzystamy z przyzwolenia i kolejno odwiedzamy ubikację. Dzisiaj nic nie gotujemy i prawie nic nie jemy. Marysia, przychodząc dzisiaj do nas, przyniosła ze sobą pełen koszyk suchych produktów i nawet chleb. Przytaskała pokaźną wałówkę. Fasola, groch, kasza, wszystko to, co ostatnio wybrała na kartki swych gospodarzy i czego ci ostatni nie użytkują. Marysia nosi też przy sobie ich kartki żywnościowe. Razem z jej własną, jest tego pięć sztuk. Na razie jednak największy pożytek z chleba. Możemy sobie dzisiaj pozwolić obdzielić każdego solidną pajdą. Głód mimo wszystko doskwiera. Wieczorem strzelanina prawie ustaje. Czekamy nocy. Co jutro nam przyniesie? Co z tego wszystkiego wyniknie? Coś się jednak skomplikowało. Krzyczkowscy też jacyś dziwni. Jakby konspirują przeciw nam. Rozmawiają po cichu u siebie. Naradzają się. Coś się jednak dzisiaj w Warszawie wydarzyło. Wyraźnie się od nas odseparowują. Jednak spokojniejsi jesteśmy dzisiaj niż wczoraj. (...)

Marysia powiada, że Rosjanie zbliżają się z każdą godziną. Słyszała na mieście, że podobno lada moment wkroczą do Pragi. Już walki toczą się na linii otwockiej.

Dzisiaj w nocy jednak jest cicho. Nic nie słychać. Działa nie grzmią. Wojna zatrzymała się. Przeraźliwa cisza na wschód od Warszawy wprawia nas w przygnębienie i pozbawia nadziei. Cała nasza nadzieja, wszystkie obliczenia oparte są tylko na zwycięskim marszu wojsk rosyjskich. W ogóle żadna inna możliwość, która by nam mogła nieść wyzwolenie i życie, nie istnieje i żadnego innego rozwiązania nie ma. Tylko ze wschodu mogą nas uratować. Jeżeli tam się coś skomplikowało, marny nasz los.

Drugiego sierpnia skoro świt, jeszcze się na dobre nie rozwidniło, a już zaczyna się wzmożona strzelanina w całym mieście. Słychać nawet strzały na naszej ulicy. Tak jakby całe miasto było pierwszą linią frontu w czasie generalnego natarcia. Jesteśmy zupełnie zdezorientowani. Absolutnie nie mamy pojęcia, co się dzieje. W Warszawie dzieje się coś niezwykłego, jakby nowy wrzesień 1939 roku, a my skryci w samym jej sercu, trwamy w absolutnej niewiedzy. Mamy już trochę doświadczenia i otrzaskania wojennego. Przeżyliśmy miesięczne oblężenie Warszawy we wrześniu 1939 roku. Trochę napatrzyliśmy się na wojnę w getcie w kwietniu 1943 roku. Nie obcy nam jest obstrzał artyleryjski, karabinów maszynowych, bombardowanie lotnicze i obstrzał z samolotów. Już od rana słychać w Warszawie wybuchy ciężkich pocisków. Na niebie nie widać i nie słychać myśliwców radzieckich. Ale oto z gwizdem przelatują nisko, niemal nad dachami domów, pojedyncze bombowce niemieckie, Stukasy. Oczywiście artyleria lotnicza do nich nie strzela.

Zdzisio prędko się dzisiaj załatwił ze śniadaniem i poszedł na ulicę. Niedługo po nim i Halina zeszła. Nam zapowiedzieli, byśmy siedzieli cicho, a najlepiej, byśmy się nie wychylali ze skrytki.

– Niech was ręka Boska broni, żeby was kto zobaczył przez okno – ostrzega nas Zdzisio.

Wojna toczy się w całym mieście. Strzelanina nie ustaje. W południe Krzyczkowscy wracają i teraz dopiero Zdzisio przyznaje, że wczoraj w Warszawie wybuchło powstanie przeciw Niemcom. Całe miasto w ręku powstańców. Zabijają Niemców na ulicach. Strzelają wszędzie.

– Dobrze, ale czy my możemy wyjść? – pytam.

Halina wtrąca swoje:

– Mówią na ulicy, że wybierają Żydów i którego złapią, zabijają.

– Jak chceta, to idźta – Zdzisio dodaje od siebie. – Jak wyjdzieta, już więcej do mieszkania nie wpuszczę. Już więcej do mojego mieszkania nie wejdzieta. Nie chcę ludziom na śmiech się pokazać, że Żydów u siebie chowałem.

Słowa kluczowe
Holokaust, Żydzi-Polacy 1939-1945, Sprawiedliwi wśród Narodów Świata

Abstract
On 25 May 1988 the Commission for the Designation of the Righteous of the Yad Vashem Institute decided to award Zdzisław and Halina Krzyczkowski the medal

Righteous Among the Nations on the application of Marian Berland, who was hiding, together with four people, at the Krzyczkowskis' place during the occupation. In his letter he wrote that "never throughout the entire period did they give us reasons to fear that they would denounce us or throw us out on the street. We survived that horrible time only thanks to them and their help." However, Berland's notes written in hiding reveal a totally different picture; the Krzyczkowskis are a couple of lumpenproletarians from Sienna Street, who constantly cheat and blackmail the Jews they are hiding.

Key words
the Holocaust, Jews-Poles 1939-1945, Righteous Among the Nations